

Archiwum Wschodnie 25 1.

Kazimierz Jankowski:

Urodziłem się 24 listopada 1922 roku we Lwowie.

Ojciec mój walczył w I wojnie światowej. Najpierw był w austriackim wojsku, potem był w niewoli włoskiej, później dostał się do Francji i stamtąd jako hallerczyk przybył do Polski. Brał udział w kampanii bolszewickiej. Po wojnie skończył Politechnikę Lwowską i pracował jako inżynier budowlany.

Moja matka była lwowianką, brała udział w obronie Lwowa. Rodzice poznali się po wojnie i pobrali się.

We Lwowie ukończyłem szkołę średnią - gimnazjum VIII, ale do 1939 roku zdołałem zrobić tylko małą maturę. W gimnazjum byłem w PW I i II stopnia, otrzymałem stopień kaprała. W 1939 roku, kiedy wybuchła wojna niemiecko-polska byłem zmobilizowany do pilnowania mostów i torów kolejowych. Byłem w tej służbie aż do wkroczenia Niemców. Ich obecność trwała kilka dni, potem przyszli Rosjanie.

Rosjanie od razu aresztowali mojego ojca. Do czasu ich odejścia w 1941 roku ojciec zniknął z naszego horyzontu. Ale zostawił po sobie takie wspomnienia, że musieliśmy jakoś ideowo mu dorównać; zachowywaliśmy się w czasie okupacji normalnie - wstąpiliśmy w szeregi Armii Krajowej.

Gdy ojca nam zabrali, nasza matka poszła do pracy. My też musieliśmy zarabiać na życie. Postanowiliśmy jednak ukończyć szkołę średnią. Ponieważ Rosjanie zamienili gimnazjum na tzw. dziesięciolatkę, ukończyłem w niej IX i X klasę. Była to już szkoła ukraińska, ale uczyliśmy się jeszcze po polsku, gdyż byli tam jeszcze wszyscy nasi polscy profesorowie. Ale dyrektorem został Ukraińiec i było kilku ukraińskich profesorów.

W 1941 roku w maju zdałem maturę i jednocześnie zostałem powołany do Armii Radzieckiej.

Stopnia żadnego mi nie przyznano, stopnia kaprała z PW nie respektowali. Byłem zwykłym szeregowym żołdatem. Maszerowaliśmy wyzwalać Besarabię. Brnęliśmy piechotą po 30-40 km dziennie. Byliśmy słabo uzbrojeni, w plutonie był jeden czy dwa karabiny, a my szliśmy na wpół w cywilu, w gimnastiorkach i w butach. Tak doszliśmy pod Kiszeniowo. <sup>z Kiszyuów</sup>

22 czerwca 1941 roku, w czasie naszego marszu wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Siedzieliśmy na jednym z poligonów, niedaleko lotniska. W pewnym momencie nadleciała eskadra samolotów, zniżyła się nad nami. Oficer, który miał z nami wykład, powiedział: "Wot, nasi orły letiat". A tymczasem posypały się bomby. Nie dozbrajano nas już wtedy, ale nadal posuwaliśmy się w kierunku Besarabii. Po kilku dniach zostaliśmy otoczeni przez Niemców i wzięci do niewoli.

W plutonie było oprócz mnie dwóch Polaków - bracia Staszek i Józef Rudy, resztę stanowili miejscowi Ukraińcy.

Niemcy dwa dni trzymali nas w polu, otoczyli nas tylko strażnikami. Potem na najbliższej stacji załadowali nas do pociągów i jako jeńcy pojechaliśmy w kierunku Polski. W Hodorowie na stacji wyszedłem z Józkiem Rudym, aby nabrać wody. Przeszliśmy przez kilka torów. W międzyczasie puścili pociąg, który oddzielił nas od strażnika. Czmychnęliśmy obydwaj za stację. Doszliśmy do niedalekiej wsi Daszawa /wieś koło Stryja/, do domu Józka.

Tam ukrywaliśmy się przez jakieś dwa tygodnie. Byli już Niemcy, była niemiecka policja, naturalnie zmieszana z Ukraińcami. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie wygódki... Stały one zawsze gdzieś w ogrodzie. Ktoś nas podpatrzył. Młody chłopak,

krótko przyszyty, zapomniałem ubrać czapki. Gestapo otoczyło dom i wyprowadziło nas. W miejscowym gestapo szalał jakiś miejscowy Ukraińiec. Nie pamiętam już, jak on się nazywał. Śledztwo trwało kilka miesięcy. Tłukli nas tam. Chcieli od nas wydobyć, że jesteśmy sowieckimi szpiegami. W międzyczasie wystrzelali wszystkich Żydów w Daszawie i wciąż nas straszili, że grozi nam to samo. Być może rozstrzelili by nas, bo nie wiedzieliśmy jak się bronić. Nie chcieliśmy się przyznawać, że uciekliśmy z transportu, bo dołączyliby nas z powrotem do tego stalagu. Kręciliśmy różnymi sposobami i w końcu udało nam się stamtąd uciec.

Trzymali nas w budynku dawnej poczty /Daszawa nie miała więzienia/. Kraty nie były zabetonowane, trzymały się na zwykłej zaprawie murarskiej. Wydłubaliśmy ją gwoździami i wyszliśmy w nocy. Było to umówione z Ukraińcem, który nas pilnował, znajomym Józefa Rudego. Uciekliśmy po raz drugi.

Niedaleko była polska wioska, Korczunek. Mieszkało tam około 3 tysięcy Polaków. Były to enklawy polskie wśród wiosek ukraińskich. Tworzyły się wtedy załóżki Armii Krajowej. Działał tam nauczyciel Jarniewski. Był w stopniu przedwojennego podporucznika. Zaprzysięgał pierwszych chłopców, tworzyły się pierwsze oddziały. Przesiedziałem tam około miesiąca, nim się trochę wyleczyłem z pobicia na gestapo, a później poszedłem do Stryja.

W Stryju byłem w organizacji AK-owskiej, tam odbyłem pierwszy kurs podchorążówki, z tym miejscem, prawie aż do końca akcji Bura związana była moja działalność. Byłem dowódcą plutonu, który bronił miasta od napaści ukraińskich. Zaczynaliśmy także tworzyć dookoła oddziały. Były tam wioski czysto polskie, takie jak Kochawina, Żydaczów, Rajłów, Siechów. Pierwsza broń pochodziła z pozostałości po froncie, z zakupu, od Węgrów.

Oddziały węgierskie stacjonowały na zapleczu frontu. Były w Stryju, we Lwowie. Węgrzy zawsze Polakom sprzyjali i Polacy mieli do nich śmiałość; nawet większą niż do Słowaków /były także oddziały Słowackie/. Węgrzy sami byli zmuszeni przez Niemców do wstąpienia do osi, ale wobec nas zawsze byli ustosunkowani przyjacielsko. Mało że sprzedawali nam broń, nieraz pomogli nam ją przetransportować swoimi samochodami. Jeżeli chodzi o sprawy wojskowe, mieliśmy od Węgrów dużą pomoc.

Antagonizm ukraiński zaznaczył się, gdy przyszli Rosjanie. Ukraińcy już w 1939 roku strzelali przeciw do naszych cofających się oddziałów. Ale jeszcze nie było takiej nienawiści, jeszcze nie byli zorganizowani. Dopiero gdy został zwolniony Bandera, gdy zaczął organizować oddziały, zaczęły się pierwsze mordy. Naprzód po okolicznych wsiach. Od Stryja było niedaleko do Turki nad Stryjem, do Ławoczno, do Senewucka Wyżnego - - pierwsze mordy tam się zaczęły. Napród spalili jakąś leśniczówkę, jakiś dom na skraju wsi, mieszkańców wymordowali. Jeszcze nie wchodzili do wsi, ale później poczynali sobie coraz śmielej. Kiedyś wymordowali prawie całą wioskę, część mieszkańców zdołała uciec. Do Stryja wjechało 15 furmanek z dobytkiem. Ulokowali się w rynku. Niemcy pozorowali ochronę przed Ukraińcami. Tymczasem w nocy podjechało gestapo - rzekome gestapo: przebrani Ukraińcy /mieli Dywizję Galicyjską - mieli mundury/. Zabrali wszystkich uciekinierów, mieli ich gdzieś niby odtransportować. Po drodze wszystkich wymordowali.

Sytuacja tak się zaogniła, że dokoła mnożyły się mordy. Ale więcej ich było na Wołyniu i Podolu. Nie mogę powiedzieć, aby bezpośrednio w Stryju, albo w pobliżu Stryja miały miejsce takie wydarzenia. Wiem, że w wiosce Rajków koło Stryja za-

mordowano dwóch braci Mozołowskich. Mieszkali oni na skraju wsi, pod lasem. Sam Rajłów to była wioska czysto polska, ale do wsi nie weszli.

Na terenie Stryja nie było wprawdzie takich napadów, jak na Wołyniu, w okolicach Równego, czy Łucka, ale my byliśmy gotowi odeprzeć każdą agresję. Mieliśmy wyznaczone rejony. W mieście były aż trzy plutony. Dowodziłem jednym z nich. Całe miasto było podzielone na trzy części. W nocy zawsze były patrole na peryferiach, chodziliśmy uzbrojeni i pilnowaliśmy. Napady przeważnie odbywały się w nocy.

Wydawałem gazetkę pt. "Nasza sprawa". Współpracowałem przy tym z panem Janem Grabowskim, ps. Groń /NOW, AK/. Było to w ramach referatu BIP, którego byłem członkiem. W czasie akcji byłem zwykłym dowódcą plutonu. Materiały zbierałem przez cały tydzień, otrzymywałem różne artykuły, sam pisałem, robiłem rysunki. Raz w tygodniu wychodziło jakichś 300-400 egzemplarzy, tyle ile zdołałem sam powielić przez jedną noc. Prowadziłem również kolportaż "Naszej sprawy". Gazetka ta znalazła się później na sądzie Okulickiego.

W swoim terenie nie spotkałem się z oddziałami BCh czy GL. Ale we Lwowie w okresie okupacji niemieckiej zetknąłem się z późniejszym I sekretarzem Krakowa, Czesławem Domagałą. Dowodził jakąś grupą BCh czy GL i już wtedy próbował uczyć mnie marksizmu. Chciał mnie zaangażować. Stąd wiem, że coś na terenie Lwowa tworzył. Po wojnie dowiedziałem się, że prawie nie było AK, tylko BCh. Ale to po wojnie.

Na czas akcji Burza byłem przerzucony do Lwowa; żołnierzy ze

Lwowa przerzucano w teren, a z terenu do Lwowa. Zbliżał się front rosyjski. We Lwowie zostałem przydzielony do dzielnicy północnej, dowodzonej przez majora Mariana Jędrzejewskiego /z-ca: kpt. Edward Baszniak/. Wyznaczono mnie do ochrony sztabu. Dostałem pluton. Ochrona była rozmieszczona na strychach kamienicy, w której stacjonował sztab. Gdy zaczęli się zbliżać Rosjanie, musieliśmy zabezpieczyć niektóre obiekty, np. rafinerię nafty, rzeźnię, pocztę, fabryki. Niemcy cofając się niszczyli wszystko. W Północnej dzielnicy razem z mjr. Jędrzejewskim robiłem obchody wszystkich naszych punktów. Gdy Rosjanie wkroczyli do Lwowa, front zatrzymał się przecinając miasto w połowie na linii: Plac Strzelecki, Teatr Wielki, Gródecka. Na ratuszu już nawet łopotała polska flaga. Północna dzielnica, Zamarstynów, była jeszcze po stronie niemieckiej.

Otrzymałem zadanie przejścia przez front w celu przyniesienia zmagazynowanej po tamtej stronie amunicji i zezwolenia na broń podpisanego przez władze radzieckie /na początku była koordynacja działań/. Wraz z pięcioma chłopcami przeszedłem kanałami. Weszliśmy od strony Pełtwy, a wyszliśmy przy ulicy Jabłonowskich. Było to już niedaleko Kwatery Głównej Sztabu Armii Krajowej, który znajdował się przy ulicy Kochanowskiego. Po kilku godzinach wróciliśmy tą samą drogą przynosząc i amunicję, i zezwolenie na broń. Ponieważ mieliśmy więcej amunicji, zaczęliśmy pierwsi wypierać Niemców z niektórych placówek. Zaczęliśmy działania zaczepne, nim wkroczyli Rosjanie. Gdy ruszyła ofensywa rosyjska, razem z Rosjanami wypędzaliśmy Niemców ze Lwowa.

Gdy oczyściliśmy dzielnicę Północ, dostałem rozkaz zajęcia poczty /róg Zamarstynowskiej i Balonowej/ na lokal dla kwatery rejonowej Armii Krajowej. Poszedłem ze swoimi chłopcami, pos-

tawiłem wartę przed budynkiem, zaraz przyszły dwie maszynistki i zaczęliśmy się urządzać. Nie trwało to długo. Podjechał samochód rosyjski, wysiadło trzech enkawudzistów, a jeden z nich zaczął przybijać do budynku, w którym ja już urzędowałem, tabliczkę z napisem: "Czetwiortyje /piatyje?/ Oddzielenie Lwiwskiej Milicji". Trochę mnie to zdziwiło - mój wartownik stoi, a oni tak bez pardonu przybijają tablicę na budynku kwatery AK. Ale za chwilę przybiegli nasi dowódcy z Kochanowskiego i powiedzieli, że są już pierwsze aresztowania. Zabrali prawie wszystkich naszych dowódców z kwatery przy ulicy Kochanowskiego. Zlikwidowaliśmy punkt; wiele tam jeszcze nie było - maszyna do pisania i trochę papierów. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Każdy decydował sam za siebie.

Postanowiłem wrócić do Stryja. Wiedziałem, że są tam jeszcze nasze oddziały. Tam także przeszedł już front. Aresztowano naszego dowódcę Pacaka-Koźmierskiego /później uciekł/. Nikt nie wiedział wtedy, co się dzieje, co będzie dalej.

W czasie okupacji niemieckiej mieliśmy w oddziale dwóch Rosjan - majora Leonida Smiernowa i Kolkę /nazwiska nie pamiętam/. Byli oni łącznikami, radiotelegrafistami. Jeszcze od nas mieli łączność z partyzantką Kołpaka /Kołczaka?/. Gdy tylko Rosjanie wkroczyli, natychmiast aresztowali ich za przynależność do Armii Krajowej.

Postanowiliśmy zebrać broń, która była w oddziałach i zamelinować ją gdzieś. Była decyzja o rozwiązaniu AK. Ale broni nie chcieliśmy oddać. W Rajłowie była cegielnia z piecem hoffmannowskim o podwójnych ścianach. Zimą był nieczynny. Ukryliśmy w nim kilkanaście automatów, trochę karabinów, amunicji, granatów. Przed samym wkroczeniem Rosjan mieliśmy trzy zrzuty na terenie Korczunka i Stryja. Broń pochodziła z Zachodu.

Byliśmy w rozsypce, ale znalazł się między nami jeden zdrajca. Był nim Czesław Rutkowski. /Zrobił później karierę w UB.. Gdy spotkał się z kimś z nas, ręki z kieszeni nie wyjmował - - zawsze trzymał palec na cynglu. Usprawiedliwiał się, że to są pomówienia, bo on nigdy nas nie sypał./ Brał udział w konfrontacjach. Ze mną nie było konfrontacji, choć wiem, że i mnie on sypnął. Sypnął całą naszą górę: Hermana, Packa Kuźmierskiego, prof. Grabowskiego, ps. Groń, z którym wydawałem prasę.

Nawiązując do zdrajców, to Lwów od samego początku nie miał dobrej passy, bo jeszcze w ZWZ były straszliwe wpadki. ZWZ szło tam dwutorowo: było ZWZ1, ZWZ2. Trudno to wyjaśnić, mógł to być przypadek, być może specyfika narodowa /gdzie dwóch Polaków, tam trzy partie/, może ambicje osobiste tych, którzy stanęli do przywództwa. Trudno mi to powiedzieć, nie byłem w to wprowadzony. Czy Maciuliński, na którego wydano wyrok i wykonano go, był rzeczywiście konfidentem NKWD - trudno mi powiedzieć. Na współpracę musiałoby być przyzwolenie góry. My też mieliśmy swoich ludzi w Kripo: na rozkaz dowódców umieszczali naszych ludzi w Kripo czy w innych jednostkach niemieckich.

Były jakieś dziwne zdrady i wsypy w AK na terenie Lwowa. Nie wiem, co to było.

Rutkowski sypnął nas wszystkich.

Nie robiliśmy przeciwko Rosjanom żadnych akcji. Ukryliśmy broń i chcieliśmy utrzymać się na tych terenach. To było naszym zadaniem - zostać tam. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że Lwów jest dla nas stracony. Nie było jeszcze Jałty. Wiedziałem, że Mikołajczyk był w Moskwie i nie mógł dogadać się ze Stalinem. Wiedziałem, że to będzie rzutowało, czy Rosjanie będą nas aresztować, czy nie. Oni wszystko już o nas wiedzieli, rozszyfrowali nas i czekali. Gdy rozmowy Mikołajczyka zakończyły się



fiaskiem, wtedy przyszła fala aresztowań. Otaczali domy, otoczyli nawet te oddziały, które jeszcze były w okolicznych wioskach. Część oddziałów czekała. Niektórzy byli z zachodu - front ustalił się wtedy na Sanie. Ale dobrze im było po wioskach, poznali się z tamtejszymi Polakami. I nagle przyszła fala aresztowań. Wybierali nas, jak ulęgałki - z domów, z pracy.

Zawieźli nas od razu do Lwowa. Z dowodzonego przeze mnie plutonu pojechało nas do Lwowa aż czternastu. Był to 18 grudzień 1944 rok. Wigilię spędzaliśmy już w kazamatach, ale jeszcze nie było żadnego śledztwa. Wzięli się za nie zaraz po świętach. Nie wypieraliśmy się, że byliśmy żołnierzami AK. Jakkolwiek przysięga nas zobowiązywała, by nie zdradzać się z przynależnością. Ale front już przeszedł, oni wiedzieli, że jesteśmy żołnierzami AK, więc nie wypieraliśmy się tego. Tylko oni potraktowali nas nie jak współpracującą z nimi organizację, a jako faszystowską organizację niemiecką.

Ponieważ byliśmy traktowani jako obywatele rosyjscy, zarzucali nam zdradę ojczyzny. Plebiscytem z roku 1939 te ziemie zostały przyłączone i my rzekomo głosowaliśmy w tej sprawie. Wtedy jeszcze nie głosowałem, ale miałem już rosyjski paszport i jako obywatel rosyjski poszedłem do rosyjskiego wojska. Prawo traktowało mnie jako zdrajcę.

Bili nas w śledztwie, wybijali zęby, wsadzali do karceru tych, którzy nie przyznawali się, różnymi sztuczkami nakłaniali nas do przyznania się do winy. Byłem chyba najbardziej bity, jako były dowódca; nie przyznawałem się do winy i odpierałem ich oskarżenia.

Siedział ze mną Kazi Żygulski. Był on z wykształcenia prawnikiem i mógł na swojej rozprawie bronić się sam. W podziemiu

był on przewodniczącym sądu kapturowego. Po więzieniu rozeszła się fama, że on jedyny wystąpił jako obrońca. Sąd dawał wprawdzie na tych rozprawach obrońców z urzędu, ale ci obrońcy jeszcze wkopywali podsądnych, a nie bronili ich. A Kazio znając wtedy międzynarodowe prawo wystąpił z obroną. Dali mu 15 lat. Na spotkaniu w Bolesławcu widziałem jego kolegów, którzy dziwili się, że mógł się tak zmienić. Ale jest bezpartyjny, to też dużo znaczy. Może chciał zrobić karierę naukową - i zrobił. Właściwie to posłużyli się nim.

W moim procesie zasiadło na ławie oskarżonych 14 chłopców. Byli to Kazimierz Jankowski, Karol Jankowski - mój brat, Tadeusz Zahara, Grzegorz Chmielewicz, Kazimierz Róża, Zbigniew Mazepa, nie żyjący już Tadeusz Czyrek, Władysław Kruk, ... Nie byłem sądzony razem z Żygulskim, on był w Delegaturze, a ja w oddziałach AK.

Rozprawa trwała dwa dni. Zachowywaliśmy się na niej okropnie - gwizdaliśmy na ich oskarżenia /o przynależność do faszystowskiej organizacji, o próby odebrania Lwowa i Wilna oswobodzonych przez Rosjan w 1939 roku/. Byliśmy butni, lekceważyliśmy ten sąd, śmialiśmy się, mówiliśmy, że koniec wojny to inaczej rozwiąże i nie jest możliwe, by oni mogli nas sądzić. A oni z zimną krwią robili swoje. Odczytywali każdemu akt oskarżenia.

Po dwóch dniach takiej komedii sąd udał się na naradę. Zostaliśmy wszyscy w sali rozpraw w ławie oskarżonych. Pilnował nas jakiś jeden półcywil z czerwoną opaską i karabinem. Lwówianin, chyba Żyd. Zobaczyłem na biurku sędziowskim kilka listków papieru maszynowego. Dawno już nie paliliśmy, a ja miałem przy sobie machorkę. Wtedy paliło się skręty w gazetach albo w innej bibule. Wyszedłem z ławy oskarżonych, strażnik skiero-

wał na mnie automat. Obok był mój brat, podbił mu ten automat, chwycił za lufę i powiedział do mnie: "Bierz, bierz, nie zwracaj na niego uwagi". Strażnik ani nie strzelał w górę, ani nie alarmował. Podzieliłem machorkę między wszystkich, zapaliliśmy. W sali zrobiło się nagle ciemno.

Gdy sąd wchodzi odczytać wyroki, w sali było tyle dymu, co po pożarze. Strażnik zameldował, co się stało. Spodziewałem się, że sąd wyjdzie jeszcze raz i powiększy nam wyroki. Tak się nie stało, wyroki były już sferowane. Odczytano je nam. Grzegorz Chmielewicz, Bolek Wyłyczko, mój brat Karol i ja dostaliśmy po dwadzieścia lat i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich - to zawsze było w parze. Zahara i Róża dostali po piętnaście lat /dokładnie nie pamiętam, kto ile dostał/, pozostali otrzymali otrzymali po dziesięć lat. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, że niektórzy zostali zakwalifikowani jako katorżnicy, a niektórzy jako zwykli więźniowie, czyli zakowcy. Okazało się to dopiero w obozie.

Na naszym procesie nie było śmiertnych kazni. Słyszałem o takich wyrokach, ale nie wiem, czy kogoś rozstrzelali. Te wyroki były później zamieniane - dawano "wyższej miery nakazanie", a później zamieniano na "dwatcat piat let tiazolych katorznych rabot w oddalonych miestach Sowietsskowo Sojuza".

3  
147  
21

Za to, że zachowywaliśmy się podczas procesu tak prowokacyjnie - jak to oni określili - zostaliśmy zaprowadzeni z sądu na dziesięć dni do karceru. Karcer był może czterometrową wąską piwnicą, po ścianach której lała się woda, zbierała się na betonie sięgając nam może do kostek. W kącie na kupie przegniłej słomy leżał trup jakiegoś Niemca. Waliliśmy w drzwi, żeby go zabrali. On się już prawie rozkładał. Usunęli go dopiero po trzech dniach. Nie było gdzie się położyć, nie było żadnej

pryczy. Spaliśmy stojąc, oparci jeden o drugiego, o ścianę, woda lała się na nas. W dzień rozgrzewaliśmy się i chodziliśmy nie dotykając ściany. Staraliśmy się trochę obeschnąć.

Jeden z nas - Kazio Róża - nie wytrzymał fizycznie, któregoś nocy osunął się na tę zgniłą słomę, gdzie wcześniej leżał Niemiec i usnął kamiennym snem. Przeleżał kilka godzin, może więcej i zainfekował sobie genitalia. Zaczęło się ropienie. Nie było warunków, żeby to chociaż wymyć. Dopóki byliśmy w karczerze nie można było do nas dopuścić żadnego lekarza. Zaczęło mu to gnić, puchnąć, trzymał to na wierzchu, wyglądało to strasznie. Po naszej celi rozchodził się straszny fetor. Mimo naszych protestów, krzyków i walenia w drzwi do ostatniej godziny dziesiątego dnia przebywał z nami. Później, gdy nas z tej celi wzięto na tzw. peresylny punkt, jego zabrano do szpitala. Był tam podobno operowany, usunięto mu cały narząd. Nie spotkaliśmy się już na etapie. Później dostał się na Kamczatkę, do Kołymy.

W peresylnym punkcie na Pełtewnej byli różni posądzeni, nie tylko chłopcy z oddziałów. Spotkałem tam swoją ciotkę, która za przynależność do lwowskiego AK dostała dziesięć lat. Ciotka zobaczyła, że byłem pobity, a moje bryczesy były tak podarte, że świeciłem gołym ciałem. Zdobyła gdzieś trochę nici i pozszywała mi je. Spotkałem tam też księdza /nie pamiętam, który to ksiądz/, wiedział, że nie za długo wyprowadzą nas na etap, więc zrobił nam komunię z chleba i komunikował nas wszystkich.

W nocy o godzinie 12 sformowali nas po ośmiu w szeregu i z psami, z konwojem, z automatami poprowadzili nas z Pełtewnej, Gródecką, aż na Dworzec Główny. Tam już stały wagony przy peronie. Wyczytywali po 50 osób do jednego wagonu. Były to zwykłe wagony bydłece, kryte, Na środku wagonu stał piecyk że-

lazny i wmontowana była rura o przekroju może 10 cm. Nie wiedzieliśmy do czego ona służy, a to był sedes. Później trzeba było używać różnych sztuczek, aby do niego trafić. Rozlokowaliśmy się po dwunastu na podłodze po jednej i drugiej stronie, i po dwunastu na pryczy, która przepoławiała ten wagon.

W wagonie poznałem się z grupą Żygulskiego. Byli to Żygulski, dr. Sobolewski i Stebelski. Sądzeni byli większą grupą, ale do tego wagonu przyszło ich trzech.

Mój ojciec był wtedy aresztowany, a matka razem z siostrą wyjechała pierwszym etapem do Polski. Nie oczekiwaliśmy już żadnego pożegnania, nie było komu paczki czy kawałka chleba na drogę nam podać. Natomiast ci, którzy mieli jeszcze we Lwowie rodziny, dostawali paczki. Na drogę dawało się jak najwięcej tłuszczu, cukru, witamin w postaci cebuli, czosnku. Nie było wtedy ani wędlin, ani mięsa. Były to czasy bezpośrednio po froncie. Ale to co było, stanowiło nie najgorsze wyżywienie. W drodze należała nam się dzienna porcja chleba. Chleb był jednokilowy do podziału na pięć osób. Po 20 dkg chleba na osobę. Tylko z nazwy był to chleb, bo była to mieszanina kartofli, fasoli, mąki kukurydzianej, najmniej było w nim mąki zwykłej. Był zwykle zamrożony. Nie można było go pokroić. Dzieliliśmy go na pięć mniej więcej równych kucek okruchów. Później losowaliśmy te kupki.

Wyjechaliśmy ze Lwowa. Nie przekroczyliśmy jeszcze dawnej granicy Polski, gdy już zaczynało świtać. Spojrzałem na Żygulskiego, a on i jego towarzysze zmienili się: nie byli już w swoich eleganckich ubraniach, mieli na sobie jakieś stare kufaje, gimnastiorki sowieckie, byli wysmarowani. Zdziwiło mnie to, zapytałem go, co się stało. - "Cicho, cicho. Ci z góry przyszli do mnie w nocy, przyłożyli mi do gardła jakieś ostre narzędzie".

dzie i porozbierali nas". A my spaliśmy jak zabici, nic nie słyszeliśmy, nic nie widzieliśmy. Żal mi się zrobiło całego zabranego prowiantu i było mi wstyd. Jakby nie było reprezentowaliśmy wojsko, partyzantkę, Żygulski reprezentował Rząd Cywilny, Delegaturę. "Tak się pan dał? Trzeba było chociaż dać nam znać! Nie dalibyśmy sobie tego zabrać!" - "A, to nie było takie proste. To są bandyci."

Nie posłuchałem go. Pobudziłem swoich chłopców i powiadam: "Odbieramy ten towar". Wychyliliśmy się spod pryczy, patrzymy, siedzą Rosjanie, starzy recydywiści poubierani w eleganckie garnitury, z jednej strony micha smalca, z drugiej worek cukru, suchary, chleby, łamią je sobie, zażerają się. Powiedziałem szybko, który do którego. Mój brat Karol miał saperki niemieckie, ja miałem angliki, zdjęliśmy po jednym bucie, żeby było czym bić i po dwóch na jednego. Za szyję i na dół. Zdjęliśmy z nich szybko te garnitury. Byliśmy chłopcy na schwał. Zabraliśmy prowiant Żygulskiego - później zasiedliśmy już do niego wspólnie. Tak się zawiązała między nami przyjaźń. Pozwoliliśmy recydywistom wrócić na górną pryczę i to był błąd. Przez 27 dni jadąc do Workuty spaliśmy bezpośrednio od podłogi, gdzie ciągnęło jak diabli. Ale już wtedy nam obiecali, że policzą się z nami w łagrach.

Etap przebiegał ciekawie.

Nigdy nie przypuszczałem, że stosują takie drakońskie metody. Liczyli nas dwa razy dziennie. Naprzód bili po deskach wagonu drewnianymi młotami, aby sprawdzić, czy któraś z nich nie jest nadpiłowana czy pęknięta. Stukali po ścianach, po podłodze, po dachu. Potem otwierali drzwi, wszyscy przechodzili na jedną stronę, wchodziło dwóch. Przeskakiwaliśmy jak kozły na jedną stronę, a oni za każdym razem walili młotem po plecach, aż

doliczyli się 50, czy 55 /nie pamiętam już dokładnie, ilu nas było w wagonie/.

Inną szykaną było wydzielanie nam wody. Dostawaliśmy zaledwie jedną menażkę wody na cały dzień - na umycie się i do picia. A do obiadu dawali zawsze zupę, w której były solone ryby. Jak człowiek zjadł dwie, trzy takie ryby, to przez cały dzień miał pragnienie. Szukał wody, ale nie było jej. Ci, którzy nie potrafili się opanować, zlizywali z rury resztki moczu, skraplała się tam ulatniająca się z nas para. Później dostawali rozwolnienia, dezynterii. Kilku z nas zachorowało na krwawą dezynterię. Mietek Wilkosz umierał nam na oczach. Kilka dni przed śmiercią nie spożywał już pokarmów, nie mógł. Ale gromadził chleb, przyglądał się kromkom. Jednocześnie lał się z niego kał, babrał wszystko tym kałem, także chleb. Zmówił ostatnią litanię, pożegnał się z nami, powiedział: "Chyba będę niedługo umierał". Dojechaliśmy z nim do Wołogdy i tam w rozpaczy zaczęliśmy bić w drzwi, bo on już nie dawał znaków życia. Przyszli z noszami i zabrali go. Do dzisiaj nie wiem, co się z nim stało, czy przeżył.

Jechaliśmy przez Moskwę.

Gdy minęliśmy Moskwę, wjechaliśmy w strefę lasów liściastych. Później była sama tajga /lasy/, a za Uchtą zaczynała się tundra /mchy, porosty/. Nachodziły mnie smutne myśli, gdy zobaczyłem te bezkresne przestrzenie. I w tajdze, i w lasach liściastych, co godzinę można powiedzieć, widzieliśmy jakiś obóz. Wierze strażnicze i maleńkie oboziki. Wycinali tajgę. Od Moskwy na północ, cały czas widzieliśmy obozy. Trafiały się też osiedla. Ale w tajdze nie było już żadnych osiedli. Były stacje, koło stacji dwa, trzy domy obsługi i obozy, obozy, obozy. Nie

liczyliśmy ich wtedy, nie wiem, czy ktoś by je zdołał policzyć.

Zaczęła się tundra. Jeszcze nie zupełna - były jeszcze karłowate drzewa. Tak dojechaliśmy do Inty. W Incie otworzyli wagony i zobaczyliśmy w bliskiej odległości zasypany śniegiem obóz. Tych 27 dni jazdy tak nam dało w kość, że pragnęliśmy już jakiejś zmiany, chcieliśmy do jakiegoś obozu. Nie mówię już, że piecyk nigdy nie zdołał ogrzać wagonu. Prawie cały czas byliśmy w mrozie, pośród lodu. Od spodu wagonu był przecież lód, z wierzchu też sople wisiały. Cały czas ogrzewały nas tylko własne ubrania. Nie byliśmy przygotowani, aresztowali nas w naszych normalnych europejskich ubraniach, nie nadających się na te warunki. Gdy wyszedłem na rampę, moje bryczesy zeszywniały jak blacha. Nie mogłem się w nich poruszać. Było poniżej 30°C, mrozy i śniegi były ogromne, jakkolwiek szło ku wiosnie. Była pierwsza dekada marca.

Gdy wyszliśmy na rampę, zauważyliśmy, że jeden od razu miał odmrożone uszy, inny ręce; nie wiedzieliśmy jak się przed tym chronić i wróciliśmy do wagonu, który był jeszcze jako tako nagrany. Dopiero później, chroniąc w jakiś sposób ręce pobiegliśmy z wagonu do najbliższego baraku. Też nie można było tak od razu. Po drodze patrzyli nas, liczyli. Pierwsze dni na tym mrozie były straszne. Wielu z nas podmrażało sobie ręce, stopy, nosy.

To jednak nie był kres naszej podróży. Dopiero tam z akt wyczytali, że nie wszyscy mogą w tym obozie pozostać. Ci, którzy mieli wyroki powyżej piętnastu lat, mieli w nich dopisane: katorżnicza praca. To nie był obóz dla katorżników. Wszystkich, którzy mieli wyroki powyżej piętnastu lat zabrali z obozu i zaprowadzili do więzienia, do Inty. Sześciu z nas chyba trafiło do więzienia. Był tam mój brat, ja, Grzegorz Chmielewicz, Zaha-



ra, Wyłyczko. Dwa tygodnie czekaliśmy na etap, dalej na północ, do Workuty.

JANKO 4  
146  
24

Pewnego dnia wzięli nas. Z więzienia do stacji było sześć kilometrów. Konwój gonił nas: "Biehom, biehom, biehom". Dopadliśmy do stacji zupełnie wymęczeni. Mimo tej gonitwy nie zdążyliśmy na pociąg. Znowu sześć kilometrów z powrotem. Wyjechaliśmy po jakichś trzech dniach.

Na stacji spotkaliśmy pociąg z Polakami jadącymi z Workuty. Zwalniali ich. Ci Polacy byli tam od 1940 roku i nie zdążyli odejść z Andersem. Wracali do Polski. Nas, posadzonych, wieźli tam z nowymi wyrokami. Tamci cieszyli się, śpiewali patriotyczne piosenki, my przygnębieni, pod konwojem jechaliśmy do Workuty jako niebezpieczni więźniowie, katorżnicy. Nie mogę potwierdzić, że ci ludzie na pewno do Polski dojechali, Ale w tych latach, to był 1945 rok, wracali jednak do Polski, wielu wracało.

Miałem takiego znajomego, lwowiaka, który wtedy wrócił do Polski. Był w Workucie, budował tam kopalnie, Podarował mi fotografię, na której napisał: "Drogiemu przyjacielowi z Łagrów, które ja mu wybudowałem w latach czterdziestych". W Workucie była też Beata Obertyńska, chyba też Kazimierz Wierzyński /nie jestem pewien/, Roman Wiśniowski - on dwa razy był w Workucie /byłem z nim we Lwowie /byłem z nim we Lwowie dwa lata temu, on jest z Lublina/.

Dojechaliśmy do Workuty. Oswoiliśmy się trochę z zimą. Na peresylnym punkcie /rozdzielczym/ dowiadaliśmy się, gdzie oni nas zatrudnią. Jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy ani z tego, jaka to będzie praca, ani z warunków pracy. Dowiedzieliśmy się, że gdzieś niedaleko są kopalnie. Powiedziałem bratu, że byłoby najlepiej, gdybyśmy schowali się do tych kopalń.

Gdy tylko było ogłoszenie, że werbują do kopalń, poszedłem z bratem, żeby się zapisać. Siedział tam jakiś inżynier z Donbasu, także katorżnik. Zobaczył dwóch zdrowych młodzieńców. O wiele nas nie pytał. Powiedzieliśmy, że jesteśmy ze Śląska. Wciągnął nas na listę i powiedział, że jak będzie etap, to pojedziemy do kopalń. Ucieszyliśmy się, że będziemy w trochę cieplejszych warunkach. Miałem jakieś pojęcie o kopalniach - - szyby, dół, korytarze. Znałem to z lektury Gustawa Morcinka. Byłem też z rodzicami na Śląsku. Po trzech dniach wywołali z baraków wszystkich górników, wyprowadzili za wrota obozów, sformowali w czwórki czy piątki. Zobaczyliśmy przed sobą zaprzęgnięte w renifery sanie, na których leżał różnego rodzaju sprzęt: bunty drutu kolczastego, słupy specjalnie zrobione do tych drutów, piecyki żelazne, brezentowe namioty, węgiel na kilku saniach. Wszystko to ruszyło do kopalń.

Dziwiło mnie, że zabierają tyle różnych rzeczy. Nie przychodziło mi jednak do głowy, że jedziemy w nieznane. Maszerowaliśmy po śniegu. Sanie jadące przed nami niby ubijały ten śnieg, ale mimo to zapadaliśmy się po pas, po kolana, brodziliśmy w śniegu. Konwojenci chodzili w raketach i nie zapadali się w śnieg. To była tak straszna, katorżnicza droga, że do dzisiaj nie mogę jej zapomnieć. Już wtedy mi chyba serce nawalało, bo nie mogłem tak iść. Jak już nie dawaliśmy rady, konwojenci puszczała serię z automatu do góry i krzyczeli: "Łożys". Kładliśmy się i tylko dyszeliśmy na tym śniegu. Wypoczywaliśmy przez chwilę. Potem kazali wstawać, znowu formowaliśmy kolumnę i szliśmy dalej. I tak nas gnali, gnali, gnali. Przez kilka godzin. Zatrzymali nas koło południa i na jednych saniach podjechała wojskowa kuchnia polowa. Wydali nam po chochli zupy. Była nawet gorąca, zagrzaaliśmy się nią trochę i ruszyliśmy dalej.

Pod wieczór kazali nam zatrzymać się. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Nie było widać żadnych kopalni, żadnych wież. Ale powiedzieli nam, że jesteśmy na miejscu. Zdziwiło mnie to trochę. Zaczęliśmy wypakowywać sanie. Naprzód postawiliśmy namioty, były to wojskowe namioty, używa się takich na poligonach. Prostokątne, długie na jakieś 80-100 metrów. W jednym były renifery i kuchnia polowa, która dla nas gotowała. Dwa były przeznaczone dla nas, dla około 500 ludzi ze sprzętem. Była tam ciasnota. W namiocie umieszczali po dwa piece, na śniegu rozłożyliśmy deski, z których później robiliśmy prycze, spaliśmy na tych deskach.

W nocy przyszła ogromna śnieżycą. Jak idzie taka śnieżycą, to nic nie widać, jedna biała ściana. Do rana byliśmy po dach zasypani. Zdawało nam się, że odepliko się trochę, jak tak zasypało śniegiem. Znużenie było tak ogromne, że człowiek spał byle gdzie, gdzie się położył tam spał, zimna nie czuł, ogrzewał się własnym oddechem. Zawierucha trwała dwa dni. Byliśmy kompletnie zasypani. Nie mogliśmy dotrzeć do siebie. Gdy ustała zadymka, robiliśmy tunele do sąsiednich baraków, później odrzuciliśmy więcej śniegu, porobiliśmy wąskie przejścia między barakami.

Myślałem sobie o kopalniach.

Po trzech dniach przyszedł do mnie i do brata ten inżynier i powiedział, że pójdziemy do kopalni. Kazał nam zabrać dziesięciu chłopców, kilka łopat i dwa kilofy. Poszliśmy. Inżynier wyjął mapę, zorientował ją; na horyzoncie stała wieża triangulacyjna, której wcześniej nie zauważyłem. Wydeptał w śniegu kwadrat wielkości pokoju. Odrzuciliśmy z niego śnieg, odsłoniliśmy zieloną tundrę. Jest to dziesięciocentymetrowy kożuch zieleni luźno osadzony na wiecznie zmarzniętej ziemi; prawie

ślizga się po lodzie. Nacięliśmy ją na brzegach i zwinęliśmy jak dywan. Coś zgrzytnęło mi pod łopata. Spojrzałem i zobaczyłem wbudowany betonowy reper mierniczy. Znałem już trochę rosyjski /w szkole uczyłem się ukraińskiego/ i przeczytałem: "Szyb główny kopalni numer 12". Tak się tam zaczęło nasze górnicze życie. Dowiedzieliśmy się, że będziemy budowali kopalnię od podstaw.

Następnego dnia poszliśmy do kopalni już jako górnicy. Zdjęliśmy do końca tundrę w miejscu, gdzie miał być szyb. Pierwsze prace były łatwe. Tej wiecznie zmarzniętej ziemi nie można było niczym wyrąbać, więc paliliśmy na niej ogniska. Po kilku godzinach wygaszaliśmy ogień, lody były roztopione, a ziemia lekko nabierała się na łopaty. I zawsze tych 20-30 centymetrów pogłębialiśmy szyb. Nasza norma wynosiła wtedy  $25 \text{ m}^3$  na człowieka. Była to niska norma, dostosowana do tej wiecznej zmarzliny. W cegielni np. norma na człowieka przewidywała wydobycie  $2 \text{ m}^3$  gliny, albo i więcej. Dopóki nie skończyła się zamarznięta ziemia, ogień przychodził nam z pomocą. Potem przyszły skały. Dostaliśmy dwumetrowe odwierty, czy zwykłe łomy zakończone widią. Jeden trzymał łom i obracał nim, a drugi pobijał młotem. Wybicie otworu trwało po osiem godzin, czasem dłużej.

Jeżeli chodzi o technikę, to robiliśmy tam już nowoczesne kopalnie. Cały sprzęt - wiertarki, wrębiarki, kombajny, wszelkie narzędzia były już nowoczesne. Oni jeszcze przed wojną mieli górnictwo na wysokim poziomie. Donbas był dużym zagłębiem, stamtąd mieli fachowców.

Na kwadracie wielkości pokoju wybijaliśmy 40-50 otworów, potem przychodził tzw. zapalszczyk /wolny obywatel/, nabijał to i odstrzeliwał; odstrzał był elektryczny /były już wtedy takie maszynki z korbką do odstrzeliwania/. Wystarczyło wybrać 2 metry

odstrzelonego materiału, jak trzeba było zakładać obudowę. - Transport odbywał się bez przerwy. Sanie przywoziły drzewo, narzędzia, deski, inne materiały. Jedni budowali życie obozowe, a my, górnicy trudziliśmy się przy pierwszym szybie.

Szyby budowało się tak jak studnie. Miałem szczęście, bo zostałem budowniczym wieńcy. Cały czas przygotowywałem wieniec i nie brałem udziału w ładowaniu kamieni. Naprzód wyrzucaliśmy je na półkach, podawaliśmy je sobie taśmowo, później był taki ogromny pojemnik zawieszony na ręcznym kołowrocie, jak w wiejskiej studni. Gdy zgłębiliśmy trochę nasz szyb, został postawiony mechaniczny kołowrót.

Wchodziliśmy coraz głębiej i wtedy zaczęła się prawdziwa katorga. Po ścianach lała się woda. Nie mieliśmy żadnej ochrony, byliśmy cali mokrzy, a później wychodziliśmy na powierzchnię. Nie było jeszcze żadnych warunków, żeby się przebrać, wysuszyć czy ogrzać. Paliły się tylko wielkie ogniska niedaleko szybu i to było nasze jedyne zbawienie - tam się trochę suszyliśmy. Nigdy nie trwało to długo, zbierali nas i bieглиśmy do obozu, gdzie czekało nas jakieś jedzenie. Wracaliśmy półmokrzy, a do obozu były dwa kilometry.

W tych prowizorycznych warunkach na początku była nawet mniejsza dyscyplina. Konwojentów było w stosunku do nas niewiele. Byli to żołnierze skazani za jakieś niesubordynacje, tak samo biedni jak i my. Mieszkali w takim samym namiocie, później baraku, z tym, że żyli na wolności i poza obozem. Ale jaka to różnica z jednej strony drutów, czy z drugiej. Jeden diabeł. Za drutami było nawet przyjemniej. Nie dostał się do nas żaden wilk czy lis polarny. Żyliśmy mimo wszystko między sobą, między ludźmi.)

Byliśmy z nimi trochę zżyci. Oni cierpieli, my cierpieliśmy,

a ludzie zbliżają się właśnie w cierpieniach, w ekstremalnych warunkach. Nie szykanowali nas wtedy. Gdy przychodziła śnieżyca czy ogromne mrozy, pomagaliśmy sobie wzajemnie. Na początku było jakieś współzycie. Wiedzieli, że nie jesteśmy w stanie nigdzie uciec, więc nas nie liczyli /"No, rebiata, idiom domoj, koniec szychty"/.

JAN 5  
148  
25

W obozie, jak już nas wprowadzili do obozu, zaczynała się następna katorga. Był jeden barak, gdzie gotowali jedzenie. Nie było jeszcze żadnej stołówki. Trzeba było to jedzenie dostać. Z miskami albo puszkami od konserw biegło się po zupę czy kaszę /na początku dawali zupę, a potem dwa razy kaszę/. Kocioł był tak ustawiony na normy, że człowiek musiał pracować. W żadnym wypadku nie można było obijać się, bo można było umrzeć z głodu. Dla tych, którzy wykonywali 100 procent normy, przewidziany był tzw. trzeci kocioł. Było tam 55 dkę chleba, dwa razy zupa i dwa razy kasza po 200 gram. Na obiad zawsze dawali jedną rybkę soloną. Na początku nie było mowy o żadnym miesie. Na obiady spożywaliśmy jakieś 1000-1500 kalorii. Przy ładowaniu kamieni, biciu młotem wydawaliśmy o wiele więcej. Sam mróz zjadał nam wiele kalorii.

Szybko dochodziliśmy do stanu nieważkości. Każdy dochodził do wagi czterdziestu, trzydziestu kilku kilogramów. Wtedy zaczynała się amnezja mózgu. Krąg myśli stawał się bardzo wąski. Przystawaliśmy myśleć o tym, gdzie jesteśmy, skąd jesteśmy, czy mieliśmy rodzinę, czy nie. Myśli nasze koncentrowały się tylko wokół tego, żeby doczekać rano następnej kromki chleba i zupy. Tylko tym żyliśmy. Młodzi, zdrowi chłopcy, którzy przychodzili z etapów, w przeciągu kilku tygodni stawali się cieniami, duchami.

Kilku pochowaliśmy w tundrze. Straszne było grzebanie ludzi w

tych warunkach. Strażnicy bardzo chytrze wypytywali, kto był przyjacielem zmarłego. Przyjaciel się nie wypierał. Musiał brać kilof, łopatę i kopać grób. Umarłego ciągnęło się nago do tundry. W tych prymitywnych warunkach nie było mowy ani o zrobieniu trumny, ani nawet o zawinięciu zwłok w jakiś worek. Znowu zaczynała się walka z wiecznie zmarzniętą ziemią. Tak naprawdę to rozgarniało się śnieg, jak tylko można było najgłębiej i w tym śniegu ciało musiało przeleżeć do wiosny. Trudno mi powiedzieć, co działo się później. Była tam przecież zwierzyna polarna /lisy/, na pewno ich zjadała.

Po kilku tygodniach harowy ja i mój brat także doszliśmy do stanu nieważkości. W tym dopiero powstającym obozie nie było jeszcze opieki lekarskiej, nie mówiąc o jakimś zapleczu szpitalnym. Wybrali sto osób i sformowali przed bramą obozu etap, który miał wyruszyć do kopalni, do obozu o lepiej zorganizowanych warunkach bytowych. Etap wyglądał strasznie. Każdy z nas ledwie trzymał się na nogach. Podpieraliśmy się różnymi szczapami. Nie mogliśmy normalnie iść w śniegu. Kiedyś wcześniej szliśmy w kopnym śniegu, tym razem była to katorga największa.

Jak w każdym obozie i tu byli ludzie, którzy odżywiali się normalnie. Był to margines, więźniowie bytowi. Potrafili bardzo szybko przystosować się i w każdych warunkach mieli normalne odżywianie i jednakową kondycję. Wędrowali etapami w poszukiwaniu przygód czy zemsty na swoich towarzyszach. Była to grupa ludzi, która potrafiła normalnie maszerować. Byli kondycyjnie wytrzymali, nadawali tempo etapowi. Szli w pierwszych czwórkach, żartowali z konwojentami, a my goniliśmy za nimi i padaliśmy. Wciąż musieli zatrzymywać etap, aby podciągnęły się tyły. Co chwila puszczali na nas swoje psy, które zmuszały nas do maksymalnego wysiłku. Po trzech godzinach zauważyliśmy na

horyzoncie kopalnię, obok niej obóz.

Zatrzymali nas przed bramą kopalni. Zrobili nam tzw. szmon, czyli rewizję. Zawsze robili taką rewizję. Byli <sup>przy tym</sup> brutalni, kazali nawet zdejmować spodnie, robić przysiady, patrzyli, czy coś z odbyticy nie wyleci. Wglądało to nawet śmiesznie. Na kilkanaście dni wprowadzali nas do specjalnego baraku na tzw. kwarantannę. Robili to po to, by nie przenieść choroby z innego obozu i by nie zetknąć się od razu z ludźmi, którzy przebywali w tamtym obozie. /Ciekawość była wielka, ludzie komunikowali się, były nowe wiadomości./ Starali się, aby ludzie jak najmniej wiedzieli o świecie, o tym, co się dzieje. Izolowali nas. Puszczali nam wprawdzie radio, ale było ono sterowane przez ich stację nadawczą. Były to jakieś ogłoszenia i muzyka moskiewska. Nie nadawali żadnych dzienników, żadnych wiadomości. W tym czasie nie było także żadnych gazet.

W czasie kwarantanny odbywały się badania lekarskie. Miało to na celu odpowiednie zakwalifikowanie. Byliśmy wychudzeni, potrzebowaliśmy jedynie wypoczynku. Wprowadzili nas do dwu baraków - po pięćdziesięciu ludzi. Była jakaś swoboda. Nie leżeliśmy już jeden obok drugiego, każdy miał swoją oddzielną pryczę, wprawdzie połączoną, ale leżał swobodnie. Był nawet siennik, wypełniony co prawda wiórami drzewnymi, często mokrymi. Był także drewniany podgłówek - można było trochę wyżej trzymać głowę. Dostaliśmy jeden koc, krótkie majteczki i krótką, mocno wyciętą podkoszulkę. Wyglądaliśmy jak sportowcy. Zabrali nam nasze cywilne ubrania. Były to już zupełnie wytarte łachy. Poszły do likwidacji. Przez kilka tygodni nie zdejmowaliśmy w ogóle tych ubrań, nie kąpaliśmy się. Po odbyciu kuracji mieliśmy dostać watowane spodnie i kufaje. Na razie byliśmy nadzy, przykrywaliśmy się tym jednym kocykiem i spaliśmy.



Spaliśmy tak, jak ludzie ciężko chorzy - bez przerwy. Budziliśmy się tylko na posiłki. Były one względnie lepsze. Był to mniej więcej trzeci kocioł, z tym że nie pracowaliśmy i kalorie doprowadzały nas do trochę normalniejszego stanu. Ta kuracja trwała krótko, ale zdążyliśmy nabrać trochę ciała. Nie było ono sprężyste, raczej nalane. Mieliśmy nie normalnie owalne kształty, owalne nalane twarze, worki pod oczami. Więcej dostawaliśmy wody, niż konkretnego jedzenia. Po dwóch miesiącach znowu przyszli lekarze i zbadali każdego. Było to krótkie badanie: rozbieraliśmy się do naga, lekarz podchodził, macał za pośladki. Jeżeli było tam już trochę mięśni, kwalifikował do zatrudnienia: ciężkiego, średniego albo lekkiego /TFT, SFT, LFT/. Mieliśmy z Karolem takie dziwne szczęście, czy byliśmy tak dobrze zbudowani, że zawsze nas kwalifikowali do TFT /tężołyj fizycznej trud/. TFT kwalifikował nas zawsze do górnictwa.

Znowu znaleźliśmy się w kopalni węgla kamiennego, ale na różnych oddziałach. Była to kopalnia o pochyłych szymbach, tzw. pochylniach /upadowych - po śląsku/; nimi dochodziło się do kopalni. Straszny był ten zjazd w dół. Trzeba było schodzić po takich niby schodach; opadowa była prawie do połowy oblodzona. Przewietrzanie odbywało się właśnie tą opadową w dół. Śnieg i mróz działał do połowy. Schodząc musieliśmy zabierać ze sobą około dwóch kilogramów gliny /do zatykania otworów strzelniczych/ i swoje narzędzia pracy: łopaty, kilofy, wiertarki. Musieliśmy mieć lampę oświetleniową, zwykłą lampę, nawet bez szkiełka - gasła nam po drodze, później nie mieliśmy od kogo jej zapalić /na powierzchni nie mieliśmy zapalek/. Schodziliśmy więc po omacku, przeważnie jadąc na pośladkach po lodzie, bo od razu wywracaliśmy się i do połowy zjeżdżaliśmy prawie jak na sankach. Gdy zjechaliśmy już na nieoblodzony odcinek, szuka-

liśmy swoich narzędzi, lampy, gliny i innych pogubionych rzeczy. Był tam taki stały palnik, od którego można było zapalić lampę. Dalsze 300-400 metrów schodziliśmy mniej więcej normalnie.

Na oddziałach górniczych wszyscy byli katorżnikami. W tej kopalni pracowaliśmy razem z kobietami: były tam Polski, Ukrainki, Litwinki, Estonki, Łotyszki, nawet Czeszki i Rumunki. Wszystkie narodowości, wszyscy ci, którzy występowali przeciw socjalizmowi zostali tam skoncentrowani. Byli to przeważnie ludzie bardzo młodzi, ale byli i starsi, i w podeszłym wieku.

Byli także Niemcy, jeńcy wojenni. Niektórzy też byli katorżnikami z wyrokami, ale na ogół nie mieli żadnej numeracji. Nosili kufaje i watowane spodnie. Przeważnie mieli jeszcze swoje płaszcze wojskowe, na których Rosjanie, by ich poniżyć do ostatnich granic, wypisywali jakieś szykany: faszystowscy złodzieje itp. Mimo takiej sytuacji Niemcom żyło się o wiele lepiej, ponieważ byli pod opieką Niemieckiego czy Europejskiego Czerwonego Krzyża. Zaczęto im regularnie przysyłać paczki żywnościowe. A ten kto dostawał w obozie paczki żywniowe, mógł sobie jakoś zmieniać życie. Mógł się wykupić od niektórych robót, mógł dokupić sobie chleba, tytoniu czy jakiegoś prowiantu. Byli przez to w lepszej sytuacji. Gorsze dla nich było to, że nie trzymali ich razem, musieli być porozrzucani po brygadach.

Baraki, w których mieszkaliśmy, zamykano na noc; przychodził żołnierz i pilnował nas. Wnoszono ogromny kibel. Smród unosił się stale po baraku. Z drugiej strony baraku była tzw. suszyk<sup>ka</sup>, mała kamera, gdzie można było podsuszyć swoje zmoczone rzeczy. Był tam piec z ruszami, na tym wieszaliśmy ubrania, przeważnie onuce i spodnie. Ale każdy wolał mieć wszystko na sobie, bo nie zawsze z powrotem dostawał to, co oddał do suszyki. Jak tylko miał coś lepszego, lepsze buty np., to rano już

tego nie dostawał; ten pilnujący za kawałek chleba zamieniał to na jakieś gorsze.

Człowiek nie mógł mieć nic swojego, nic na własność; jak tylko coś z siebie na chwilę zrzucił, ginęło to momentalnie. Nie można było ani koca utrzymać, ani nawet siennika. Jak tylko było coś lepszego, to momentalnie ginęło. Jak przychodziliśmy z pracy, to przeważnie były gołe deski. Później, gdy dostawaliśmy z magazynu nowe rzeczy, które miały nam służyć cały rok, to wymienialiśmy je na dobry chleb i na cukier u jakichś za-  
możniejszych, tzw. błatnych. Lepiej było jeden raz dobrze sobie podjeść - nowa rzecz i tak byłaby skradziona. To weszło w nawyk. Każdą nową rzecz spieniężaliśmy, względnie zamienialiśmy na prowiant. Zostawialiśmy w byle jakich szmatach.

150  
26  
Prowiant z wymiany, to nie były tak duże porcje, by można było od tego dostać skrętu kiszek. Chyba że ktoś dostał paczkę. Były takie sytuacje, że niektórzy objadali się i chorowali. Objadłem się kiedyś zwykłej kaszy. Akurat znajomy rozdawca /rozdawał zupe/ chciał mi dogodzić i włożył mi do trzylitrowego kociołka pełno kaszy. Kazał mi to zjeść i przyjść jeszcze raz. Po zjedzeniu drugiej porcji, nie mogłem wyjść, myślałem, że skonam.

Przeważnie jednak przejadanie się nam nie groziło. Nawet ci, którzy dostawali paczki, musieli się nimi dzielić z błatnymi /niepracującymi, pasożytami/. Inaczej byli narażeni na szykany, pobicie czy śmierć. Paczki były otwierane. Jeżeli nawet wydawali całą paczkę, błatni i tak wiedzieli, co w niej jest. Przychodzili do kogoś, kto odebrał paczkę, do baraku i on sam oddawał im prawie połowę. Byli też tacy, którzy buntowali się. Ja sam nie dostawałem paczek, nie miałem tego problemu.

Ale ten problem powstał przy innej okazji.

Pracowaliśmy z bratem na jednej ścianie. Mimo że nigdy wcześ-

niej drzewa nie rąbałem, wziąłem siekierę do rąk i zostałem cieślą kopalnianym. Budowałem szyb, jak go głębiliśmy, stawiałem stemple /po śląsku - kapy/. Było mi trochę lżej, traciłem mniej kalorii. Dużo cięższa była praca ładowacza: przerzucanie około 20 ton węgla przeważnie z pozycji leżącej /niskie pokłady/. Norma wahała się w zależności od warunków pokładu /pokład niższy, wyższy, pochyły/.

Wizytował nas kiedyś naczelnny inżynier kopalni. Pochodził z Donbasu. Był zmuszony do pracy w Workucie, ale jako wolny obywatel. Zauważył porządnie stawiane stemple i polecił mi przyjść do swojego biura. Poszedłem do niego. Zorientował się, skąd jestem; nie mówiłem jeszcze perfekt po rosyjsku. "Aha, Polacy. No, bardzo ładnie tam pracujecie, bardzo dobrze stawiasz te kapy. No ale co ja ci mogę dać? Masz tu pięćdziesiąt rubli!" - i wsunął mi je do kieszeni.

W brygadzie zawsze był jeden, dwóch pasożytów. Chodzili na kopalnię tylko po to, żeby zmienić sobie klimat. Kopalnia była także otoczona wieżami, nie można było z niej wyjść na zewnątrz, ale można było swobodnie poruszać się po jej terenie. Pracowały tam również kobiety, a ci panowie bardzo często uganiali się za nimi. /Mieli normalne warunki bytowe, mieli i takie potrzeby./ Szukali także alkoholu, który w każdych warunkach przedostawał się do więzienia. Błatnyje od czasu do czasu mieli pieniądze. Obrabowywali nowych, każdy miał gdzieś zaszyte jakieś pieniądze. Mieli na wódkę, na słodycze. W obozie można było dostać także słodycze. Były takie kioski, gdzie sprowadzali bardzo drogie pomadki, czekoladę. To też były jakieś kalorie. Ale ludzie, którzy mieli jakiś grosz czekali na chleb, masło, witaminy czyli cebulę, prawie nie istniejącą w tamtych warunkach.

Dostałem te 50 rubli od naczelnego inżyniera i zamiast je dobrze schować i nic nie mówić, pochwalilem się - najpierw bratu, potem innym kolegom z mojej brygady. Zauważyli to także ci dwaj błatnyje. Przyszliśmy do obozu w nocy, była to druga zmiana. Położyliśmy się spać. Czekaliśmy na ranny gong, żeby pójść na śniadanie. Myślałem, że kupimy coś na czarnym rynku. Kiedy tylko otworzyli barak, jeszcze spałem, zjawiła się nade mną jakaś postać, przyłożyła mi nóż do gardła i powiedziała: "Słyszałem, że masz 50 rubli. Daj te pieniądze, bo zgubisz!"

Wtedy zbuntowałem się. Jak to? Taka nadzieja, tyle sobie obiecywałem i mam oddać te pieniądze jakiemuś bandycie? Błyskawicznie zdecydowałem, że będę walczył. Powiedziałem mu, że nie mam tych pieniędzy, ma je mój brat. Karol leżał obok mnie. Gdy napastnik przechodził na drugą stronę pryczy, rzuciłem się na niego i wybiłem mu nóż. Wtedy obudził się Karol. Położyliśmy go obaj, odrzuciliśmy nóż i uciekliśmy z baraku. Dalsza walka nie miała sensu. Mogliśmy zginąć, a pewnie nie zdecydowalibyśmy się użyć noża. Nie wiedzieliśmy co z sobą począć.

Straże niby nas broniły, uciekliśmy więc na bramę. Wiedzieliśmy, że nie warto im niczego mówić, powiedzieliśmy więc, że musimy być na kopalni. Istniały tzw. służby posadzkarzy; kiedy ściany siadały, trzeba było im pomóc. Wtedy wyprowadzali na kopalnię nawet po dwóch, trzech, czterech ludzi. Uwierzyli nam i dołączyli nas do wychodzącego właśnie dwudziestoosobowego etapu. Po pół godzinie znaleźliśmy się na terenie kopalni.

Poszliśmy po ratunek do naczelnego inżyniera i opowiedzieliśmy, co się dzieje. Odmówił nam: "No, rebiata, co ja wam mogę pomóc? Chciałem dobrze, ale teraz nie mogę nic dla was zrobić. Musicie jakoś sami wyratować się z tej opresji".

Była to ostateczność. Trzeba było się uzbroić i być może zgi-

nać z honorem. Poszliśmy do narzędziowni, pobraliśmy narzędzia - siekierę i pilnik. Postanowiliśmy czekać. Wiedzieliśmy, że następnym rozrodem /zmianą/ przyjdą za nami. Przeczekaliśmy koło ogniska i gdy przepuszczali przez bramę południową zmianę, zauważyliśmy już nie jednego bandziora, ale siedmiu czy ośmiu. Walka była nie do przyjęcia, wiedzieliśmy, że przegramy tę bitwę.

Było jeszcze jedno wyjście. Na terenie tej kopalni stał barak wolnych Niemców Nadwoźzańskich. Stalin usunął ich, gdy zbliżał się front. Pracowali jako wolni, dostawali pensję, sami sobie gotowali. Pracowaliśmy z nimi w kopalni. Przyjaźniliśmy się. Byli to uczciwi Niemcy, pomagali nam: czasem dali papierosa, czasem kromkę chleba, czasem wysyłaliśmy przez nich jakiś list. Ale to była rzadkość, za okazywanie nam pomocy groził im wyrok, dalecy byli od tego, ale przyjaźnie ustosunkowani.

Wbiegliśmy do ich baraku i nawet zostaliśmy przyjaźnie powitani. Zdziwili się, że przyszliśmy na początku zmiany. Gdy powiedzieliśmy im, że zaplątaliśmy się w aferę pieniężną, że prawdopodobnie będą nas ścigać błątynje i wyjaśniliśmy im cel naszego przybycia, też powiedzieli nam: nie. "Nie, chłopcy. Przyjaźń z wami to jest jedna sprawa, ale my nie chcemy mieć z nimi do czynienia. To są mordercy. Tak samo możemy się narazić, jak i wy. Niestety, musicie opuścić nasz barak."

Nie zdążyliśmy wyjść, kiedy wpadło pięciu bandziorów. Byli uzbrojeni w jakieś ciężkie narzędzia: śruby, pilniki. Niemcy zareagowali natychmiast. Zerwali się, każdy miał koło swego łózka narzędzia: siekiery, kilofy. Chwycili je i do nich: "Co to jest? Co to się dzieje? Proszę się wynosić!". W baraku było około pięćdziesięciu Niemców, błątynje zaczęli się wycofywać. A my za nimi. "Załatwiajcie swoje sprawy poza barakiem." Wypy-

chali nas powoła, my niechętnie, tamci też, ale zbliżaliśmy się do wyjścia.

W tym momencie wpadło pięciu karabinierów z okrzykiem: "Gdzie ci bandyci?". Nie wiedzieliśmy co się dzieje. Rosjanie od razu zorientowali się, o co chodzi. - "To tych dwóch polskich bandytów! Pobili naszych!" Był tam ten, któremu rano wytrąciłem nóż. Żołnierze od razu założyli nam kajdanki i wyprowadzili nas w stronę bramy kopalni, do obozu, do izolatora /kryminał w kryminale/. Wiedzieliśmy, że jeżeli się tam dostaniemy, to koniec z nami. Tam panowała zupełna dżungla. Mogli nas wrzucić do celi z jakimś bandziorem, który by nas załatwił. Tak się normalnie w więzieniach robi. Byliśmy zupełnie załamani.

Przy bramie stał akurat naczelnny inżynier. Zobaczył nas skulanych, złodziejasków rozpromienionych i od razu zaprotestował: "Kogo skuliście w kajdany? To nie tych, to tamtych trzeba było zakuć!". Rosjanie momentalnie zmienili ton, zaczęli się wykręcać: "A. grażdanin naczalnik, my tylko żartowaliśmy...". Inżynier ostrzegł ich, że jeżeli włos nam z głowy spadnie, to wyśle ich jeszcze dalej - na Wyspy Sołowieckie, gdzie "wieczno płaszut i pajut". Żołnierze zdjęli nam kajdany. Chcieliśmy iść zaraz do pracy, ale inżynier powiedział, że jesteśmy nerwowo wykończeni, dał nam dzień wolny.

Wyprowadzili nas do obozu razem z tymi bandziramami. Cały czas myślałem sobie, co tu robić, co robić? Poradziłem się brata i dałem pieniądze temu hersztowi. Wziął je i podziękował.

Błatnyje mają swój honor i mimo wszystko to mi się opłaciło. Rano zobaczyłem przy swojej pryczy gęstą zupę, bochenek chleba, kawałek jakiegoś kotlecika, dobrą rybę. Co najmniej przez dwa miesiące tak nas karmili. Za tych zwykłych 50 rubli, za które mogli wtedy kupić /stare ruble/ jakieś trzy półlitrowki. Dla

nich to były delikcje, rarytas. Chleba mogli brać od kucharzy, ile chcieli, zawsze mogli kogoś poszantażować. Dla nas ważny był chleb.

Po tym wszystkim nauczyliśmy się czegoś i mieliśmy spokój z błatnymi. Urosiliśmy w ich oczach. Widocznie zaimponowało im to, że nie byliśmy skłonni od razu oddać im wszystkiego. Od tego czasu zwracali się do nas per "Kazimier Mechajłowicz", "Karol Mechajłowicz", zawsze kłaniali się, żegnali. A jakakolwiek protekcja w obozie, to było dużo.

Całe zajście nie rzuciło także cienia na naszą przyjaźń z Niemcami. Rozumieliśmy ich, cóż oni mogli? Naprzód nie chcieli się włączyć, bo nie chcieli z nimi zaczynać. Ale zachowali się solidarnie mimo wszystko.

Element przestępczy był gotowy na wszystko. W Rosji nie było wtedy kary śmierci za zabójstwo. Można nim było dorobić sobie do wyroku. Recydywistom nie chodziło o to, żeby wyjść na wolność. Im się bardzo dobrze powodziło w obozie. Nigdy nie pracowali, zawsze byli na jakichś stanowiskach przy dzieleniu jedzenia; dobrze jedli, pili, nawet dziewczyny mieli. To był stały element obozowy. Bardzo dobrze czuli się w obozach. Na wolność spieszyły się jednostki, które miały do załatwienia sprawy wendety.

150  
27

Od czasu do czasu były amnestie dla bytowych /dla politycznych nigdy nie było/. Zwolnieni wychodzili na Workutę. Chodzili po restauracjach, po knajpach, aż kończyły im się pieniądze. Wtedy należało wracać do obozu. Kiedyś poszli do prokuratora, jego związali, córkę i żonę zwałcili. Zapytali, czy teraz wie, za co ma ich zamknąć. Brali ich z powrotem do obozu, dawali im dalsze wyroki.



dziećmi zajmowały się Domy Dziecka. Niektóre kobiety po dwa, trzy razy rodziły nie swoje dzieci. Może ich później nigdy nie zobaczyły.

W warunkach obozowych też musiała być. Niektóre kobiety po prostu za chleb się sprzedawały. Jeszcze na rehabilitacji poznałiśmy Polkę, żonę polskiego oficera, który siedział w innym obozie. Zaprosiliśmy ją do baraku na pogawędkę. Nie mieliśmy czym jej poczęstować. Mieliśmy tylko schowanego skręta. Popaliliśmy go we trójkę, porozmawialiśmy. Gdy już od nas wyszła, zaskoczył ją apel. Żołnierz, który szedł nas liczyć, zawrócił ją na noc do naszego baraku. W tym samym baraku mieszkał chlebozecznyk /wydawał chleb/. Rano zobaczyłem, że nasza znajoma została u tego magazyniera. Na pewno przespała się z nim za kilka bochenków chleba.

Kobiety były w tym obozie tylko przez dwa lata. Ci, którzy mogli prowadzić życie seksualne, szukali sposobów, by dostać się do obozów kobiecych, np, pod pretekstem posiadania męskich zawodów. W obozach, w kryminale wszystko jest do zrobienia, nawet i seks.

Na Workucie znane były polskie pięcioraczki. Trzon większej grupy stanowiło pięć pań, które moralnie wpływały i podtrzymywały te słabsze. Były to panie Basia Dudycz, seniorka, żona byłego generała polskiego, Wanda Kiałko, Cesia Natow, Bronia Kuciuk. Te panie i reszta Polek trzymały się razem. Może było im nawet łatwiej potem, gdy były tylko same kobiety.

Warunki polepszały się z roku na rok. Na początku była ogromna umieralność. Codziennie wynosili po dwudziestu z obozu. W każdym baraku była skrzynia gotowa na trupy; zawsze w nocy

mógł ktoś umrzeć. Rano podjeżdżały sanie, i wywoziły trupy. Każdemu wywożonemu za bramę obozu umarłemu podżynali gardło. Na wypadek, gdyby ktoś chciał w ten sposób organizować ucieczkę.

Stałem kiedyś z Wandą Kiałko koło jednego z baraków. Była mżawka i gołoledź. Koń, który ciągnął sanie z umarłymi potknął się, szarpnął sanie, sztywne ciała posypały się dokoła. Jedno zatrzymało się tuż pod naszymi nogami. Wanda doznała jakiegoś szoku, zaczęła się histerycznie śmiać. Mimo wszystko to nie była codzienność.

Wśród Polek były trzy panie, które w ogóle nie były sądzone. Zostały przywiezione z Wilna. Pracowały w stołówce. Zawsze dodawały nam chochlę kaszy, czy jakiejś lepszej zupy. Krótko to trwało, te panie wyjechały do Polski. Była tam m.in. żona Franciszka Króla.

Kiedyś na kopalni zламаłem nogę. Wepchnąłem ją między wózki. Noga zaczęła puchnąć. Nikt mną się nie interesował, więc sam zacząłem się wlec ku wyjściu. Pokuśtykałem na jednej zdrowej nodze pomiędzy wózkami z kołmi do wyjścia pod szyb. Czekająca mnie straszna, katorżnicza droga po tej pochylni. /Jak idzie do góry nazywa się pochylnią, jak w dół - opadową./ Szczęście w nieszczęściu - spotkałem brata i Karol wyniósł mnie na plecach. Trafiłem do ambulansu, założyli mi gips i przez trzy, cztery tygodnie miałem szczęście nie pracować. To od razu odbiło się korzystnie na moim organizmie, przybyłem na wadze. A po wypisaniu mnie ze szpitala pozostało kilka miesięcy rehabilitacji.

Dostałem się wtedy do brygady powierzchniowej. Węgiel, który wychodził z kopalni, przechodził przez sortownię, potem był ładowany do wagonów, nadwyżki wysypywano na hałdę. Była to praca na wolnym powietrzu, lżejsza, niż w kopalni. Nie

trzeba było nosić wielkich ciężarów, pracowałem łopata. Niemniej praca trwała 12 godzin. Były tylko dwie brygady, które zmieniały się w ciągu doby. To było mordercze. 12 godzin trzeba było odpracować na terenie kopalni, później dochodziły jeszcze godziny przejścia przez bramę, dojścia do obozu, zjedzenia posiłków. Na wypoczynek nie pozostawało wiele czasu.

Brygady te miały pewne przywileje w otrzymywaniu jedzenia. Mogły bez kolejki stawać do posiłków.

Ponieważ praca w brygadzie powierzchniowej była lżejsza, pracowały tam głównie kobiety. Jako mężczyzna dostałem od razu najcięższą pracę. Wywoziłem odebrany od węgla kamień na ogromną hałdę. Otwierałem bunkier i kamień sypał się do koleby. Potem musiałem wyjechać z kolebą 200-300 metrów powyżej poziomu kopalni. Wiały tam wieczne wiatry i śnieżyce. Trzeba było wiele sprytu, żeby tę kolebę wywrócić, ale utrzymać ją na szynach. Gdyby spadła, byłaby to prawdziwa katastrofa. Cała brygada musiałaby ją wynosić na plecach na górę. Przez ten czas bunkry napełniłyby się kamieniem. Kopalnia musiałaby stanąć. Była to bardzo odpowiedzialna praca. Ale przyłożyłem się do niej i miałem nawet trochę wolnego czasu. Bunkry zapełniały się po dwóch godzinach, a jak wywoziłem kilka koleb, bunkry były puste.

Wszyscy w kopalni byliśmy szarzy: węgiel, nie prane nigdy ubrania, nie myte twarze. Tworzyliśmy taki obraz, jak w czarno-białej telewizji. A świat poza nami był kolorowy. Tęskniliśmy za tym światem. Prawie go nie było w naszym otoczeniu. Kolorowe były etapy, które przychodziły z wolności. Etapy, które przechodziły między kopalniami były szare: szarych zabierali, szarych przyprowadzali.

Kiedyś wyjechałem z kolebą na sam szczyt hałdy i zauważyłem poruszający się w tundrze etap. Kolorowy etap. Zaciekawilo

mnie to. Zostałem tak długo, aż zbliżył się do naszego obozu. Sychta miała się ku końcowi. Zauważyłem, że z obozu szła już brygada na zmianę. Szybko przygotowałem do oddania moje miejsce pracy i z niecierpliwością czekałem na zmianę. Odbywała się bardzo szybko. Nie myliliśmy się na bramach, wtedy wyczytywanie nie przedłużało się. Szybko doszliśmy do obozu. Nowy etap jeszcze nie był wpuszczony. Obserwowaliśmy tych nowych ludzi, domyślaliśmy się, skąd byli. Bardzo łatwo odróżnialiśmy Łotyszy, Polaków, Litwinów od Rosjan. Jakby nie było Europa od Azji zawsze się różniła. Mimo woli zawołałem po polsku: "Czy są Polacy?". - "Są, są" - odpowiedziała mi piękna blondynka średniego wzrostu. - "A skąd?" - "Ze Lwowa." Serce mi się ścisnęło. Pomyślałem sobie, że oni dalej panoszą się we Lwowie, aresztują, sądzą i wywożą. Był to już rok 1946. Nie mieliśmy żadnych wiadomości. Zaciekawilem się tą panią, wiedziałem, że etap pójdzie naprzód na kwarantannę. /Odezwał się wtedy jeszcze jeden męski głos - był to pan Józef Wojciechowski; też był na zjeździe./

Ale w obozie prawie zawsze biega się. Nie zdążysz do apelu pobrać jedzenia, to czekasz później. Na apelu kilka razy cię liczą, zawsze się mylą, Konwojenci byli analfabetami albo pół-analfabetami; nigdy nie mogli doliczyć się od razu. Apel trwał niekiedy 1,5-2 godziny. W tym czasie musieliśmy stać na baczność. Potem było dobieranie prowiantów. Już nawet nie było wiele czasu na spanie. Moje plany pokrzyżowały się, nie poszedłem do kwarantanny po nowe wiadomości o Lwowie.

Ale szczęście samo się do mnie uśmiechnęło. Byłem wtedy na popołudniowej zmianie i znowu z hałdy zobaczyłem, że konwój prowadzi jakąś kobietę z obozu. Niosła jakąś paletę i maleńką walizeczkę. To była dziewczyna z etapu. Spotkałem ją później

w cechowni. Stała na drabinie i malowała jakiś transparent. Dziś już nie pamiętam, co tam takiego było; to zawsze było związane albo z rewolucją, albo ze świętem majowym. Także ze współzawodnictwem pracy.

Współzawodnictwo pracy w tych warunkach to był obłęd, ale czy podział na kotły nie był obłędem? Współzawodnictwo pracy wymuszane czarnym chlebem albo miską kaszy - to jest właśnie socjalizm.

1110 8  
102  
10

Zawsze przed zjazdem brygady na dół była odprawa. Zdarzało się, że przychodziliśmy do cechowni, a na stole stał ogromny kołacz, kilkukilogramowy chleb z czarnej mąki ozdobiony wzorami z kartofli. Przychodził dyrektor i mówił, że kołacz jest dla brygady, która da największe wydobycie. Specyfika kopalni jest taka, że nie zawsze można próbować współzawodnictwa. Z życiem nie da się współzawodniczyć, żywioł trzeba opanowywać. A jeżeli chce się wyrwać jak najwięcej węgla, to trzeba jednocześnie stosować zasady techniki górniczej. Trzeba to miejsce dobrze zabudować i dobrze odgradzić od zawału. Jest wiele reguł postępowania. Ale bardzo często psuły się mechanizmy niezależne od człowieka i takie wydobycie było niemożliwe. Czasem brygadzie brakowało dwóch, trzech wagonów, żeby zbliżyć się przynajmniej do tej wygranej. Wtedy wychodzili ze ściany i jeszcze po drodze skrobali węgiel po ścianach, po rowach, po pochylniach. To już nie był nawet węgiel, tylko czarne kamienie. Żeby tylko napełnić wagon, żeby tylko napełnić, żeby dostać ten kołacz. Męczyli się, zostawali po godzinach, a nic z tego nie wychodziło. A jak nawet taki kołacz dostali, to co to było na dwudziestu kilku ludzi? Każdy dostawał kromeczkę i niby był zadowolony.

A także obiecywali po kieliszku wódki. Brygada, która zajęła

pierwsze miejsce była prowadzona do dyrektora kopalni /przeważnie był to oficer NKWD/, który dawał każdemu po 50 gramów wódki. Tyle wtedy wystarczało, żeby człowiek chwiał się na nogach. I wracała do obozu taka pijana brygadka.

Czasem dawali po 10 dkg słoniny. To było chyba najlepsze. Można było trochę chleb omaścić.

"Witam piękną Lwowiankę" - zacząłem. Dziewczyna spojrzała na mnie wymazanego, ale od razu mnie poznała. Zapytała mnie, czy jestem tu jakimś kierownikiem. Miałem na sobie kozuch, należało to do rzadkości. Przydzielano je na posterunkach, gdzie wiecznie wiało. Wyjaśniłem jej, że to kozuch służbowy i pokażalem przez okno swój urząd na wierzchołku góry. Nie wiedziałem o co pytać, o czym mówić, kim ona jest. Ale powiedziała mi, że była żołnierzem AK - także we Lwowie, nawet w tej dzielnicy, w której kiedyś mieszkałem. Były to przedmieścia Lwowa, za rogatkami łyczakowskimi: Pasieki Halickie - były tam błonia, lasy. Tam mieściły się nasze oddziały. Cesia była łączniczką i adiutantką Draży /oficer jugosłowiański, którego odbiliśmy z niewoli niemieckiej, dowodził w zastępstwie dowódcy pułku/. Przedstawiłem się jej, zasalutowałem, stuknąłem walonkami - tak zaczęła się nasza przyjaźń.

Transparenty w obozie widniały wszędzie. Na każdym baraku, na każdym budynku administracyjnym, nawet na bramie wejściowej był wielki transparent: "Czesnyj trud put' k swobodie". Ta krzykliwa propaganda na czerwonym tle szła za nami wciąż, odkąd wkroczyli do nas 17 września. Na 1 maja 1940 roku ja sam na naszej cegielni /ojciec był aresztowany/ musiałem wypisać wielki transparent: "Da zdrastwuj pierwowo maja", Pamiętam jak

dziś ten moment, kiedy musiałem taki bzdurny tekst malować na własnej cegielni.

Cesia była malarką i spotykałem ją w obozie od czasu do czasu, Przeważnie coś gdzieś malowała. Wtedy można było zatrzymać się i porozmawiać. Od niej dowiedziałem się, że w 1945 roku był pokazowy proces w Moskwie, na którym sędzieli Okulickiego, Jan-kowskiego, szesnastu przedstawicieli naszych najwyższych władz. Opadły wszelkie nadzieje. Już dawno dowiedzieliśmy się o Jał-cie, wiedzieliśmy, że Lwów nasz już nigdy nie będzie.

Zaczął się marazm. Cłód był coraz większy, prace były coraz cięższe. W 1945 i 1946 roku rzucili jeszcze amerykańską tuszon-kę, różne koncentraty, mąkę, ale pomoc UNR-y już się kończyła. Rosja przechodziła na własny wikt. Wiadomo, że nie mieli oni wielkiego pogłowa, w czasie wojny wystrzelali renifery. Etapy przychodziły coraz rzadziej /etap Cesi był jednym z ostatnich/. Postanowili poprzez zmniejszenie śmiertelności i zachorowań utrzymywać na stałym poziomie asymilującą się załogę. I faktycz-nie zwiększyli normy do tego stopnia, że było naprzód pięć kotłów, a później aż siedem. Uganianie się za najwyższym kotłem, to też była forma rywalizacji. Prawdę mówiąc brygada, która potrafiła utrzymać wysokie wydobycie i była żywiona przez mie-siąc, dwa najwyższymi kotłami, utrzymywała się w dobrej kondy-cji i pracowała normalnie. Ale wystarczył wypadek, czy jakiś zawał, który położył im to wydobycie i momentalnie ludzie ci przechodzili na kotły najniższe, a pracowali nie mniej. Od ra-zu pogarszał się stan zdrowia takich brygad. Kopalnia wpadała na jakiś nieokreślony czas pod tak zwany plan. Następowaly wtedy różnego rodzaju restrykcje. Zmieniali dyrektora, uważa-jąc, że poprzedni był za bardzo pobłażliwy; dawali jakiegoś

dawnego śledczego /na dyrektorów kopalń mianowali byłych śledczych/. Albo dawali kogoś, kto potrafił zorganizować pracę i dogadać się z ludźmi. Wszędzie współzycie z ludźmi dawało jakieś efekty. Jeśli dyrektor był ludzki, jeśli potrafił docenić pracę, jeżeli nie dyskryminował za narodowość i poglądy, to ludzie chętniej pracowali. Przyjemniej było przebywać w kopalni, w pracy, niż w obozie.

W obozie każdy zwykły żołnierz zaczepiał ciebie, jeżeli nie ukłoniłeś mu się, nie zdjąłeś czapki, jeżeli numer nie był tak podmalowany, by był widoczny, jeżeli włosy troszeczkę odrosły i sterczała spod czapki jakaś czupryna, nawet jeżeli ochraniałeś szyję i przyszyłeś sobie jakiś kołnierz. To wszystko było nie dozwolone. Strój obozowy był bez kołnierza, bez przyczułka na czapce. Wszystko po to, by na wypadek ucieczki człowiek mógł być szybko rozpoznawany w terenie. Ubranie pod łatanami było wycinane, aby nie można było ich zerwać. W obozie wszystko nas przygnębiało, były tam wieczne szykany.

Nie mówiąc już o tym, że w każdym obozie działał wydział śledczy. Przeglądali wciąż nasze akta, były tam różne opinie. Na tej podstawie wiedzieli, że na moją poprawę nie mają co liczyć, albo musieliby długo czekać. Dlatego kwalifikowali mnie tylko do pracy fizycznej, żebym czasem gdzieś czegoś nie organizował.

Natomiast jak przychodziło się do kopalni, to kierownictwo cywilne, które składało się z inżynierów, nie brało tych rzeczy pod uwagę. Nigdy nie pytali się kto kim był, nawet jeżeli byli to Niemcy. Cenili tylko fachowość i efekt w wydobywaniu. Tam traktowali nas normalnie, jak swoich towarzyszy wolnych, nie było żadnej różnicy. Mógł katorżnik pracować razem z wolnym i mógł dostać kocioł wyższy. Pod tym względem była tam sprawa



wiedliwość.

Na północy ludzie wolni zarabiali w stosunku do Rosji, do południowych republik dwa razy tyle, mieli podwójny urlop, dwumiesięczny i jeszcze dostawali na dojazd. Więźniowie nie otrzymywali pieniędzy za swoją pracę, zapisywali im je na konto. Wyżywienie było małym procentem zarobków /4-5 procent/ i nie odliczali tych rubli od zapisywanych sum. Ktoś, kto zarabiał szósty czy siódmy kocioł, był w ich mniemaniu lojalnym więźniem i na wypadek zwolnienia nawet więcej mu odpisywali. Odczułem to na sobie. Dowiedziałem się, że mam na koncie 25 tysięcy rubli /dwa i pół tysiąca współczesnych/. Do zwolnienia pozostawało mi jeszcze ponad dziesięć lat. Uważałem, że następnych dziesięciu lat nie wytrzymam i rozdałem tę sumę. Pieniądze można było wysyłać w każdym kierunku w Rosji, do znajomych, do rodziny. Rodziny w Rosji nie miałem. Wysłałem po parę tysięcy rubli do rodzin moich znajomych z obozu - na Białoruś, Wileńszczyznę, Nowogródczyszynę. Na różne rzeczy. Niektórym po to, żeby wysyłali paczki. Z terenów rosyjskich wszyscy mogli wysyłać paczki. Parę tysięcy rubli starczało na kilka paczek, z których i mnie zawsze coś się dostało. Kiedy trzy lata później znalazłem się na wolności, nie miałem nawet na bilet powrotny.

Pod koniec 1946 roku, drugiego roku pobytu w obozie rozgryźli mnie i Karola. Wpadli na to, że jesteśmy rodzonymi braćmi po jednej sprawie. Nawet się elegancko zachowali. Wezwali nas do Specczastii, do kuma. Kum okazał się dość ludzki, pozwolił nam samym wybrać, który z nas ma pójść na etap. Byłem starszy o rok i zdawało mi się, że to ja wciągnąłem brata do organizacji /nie ja go zaprzysięgałem, ale wiedział czym się param i

też w to wszedł/.-W pewnym sensie obciążało to moje sumienie, że ten młody człowiek stracił dziewczynę, stracił wszystko i tułał się ze mną po bezkresach Związku Radzieckiego. Zdecydowałem się na etap, pożegnałem się z bratem, nie wiedziałem, gdzie nas pogonią. Obiecałem, że dam znać o sobie, jak tylko będę na miejscu.

W tym samym czasie przyszła wiadomość, że kobiety mają być zabrane z męskich obozów i wysłane na tzw. kierpicznej zawod /cegielnia/. Pożegnałem się z Cesią. Dała mi na drogę dwa talizmany: wyhaftowała na jedwabnym batyście dwie chusteczki z orłem i herbem Lwowa. Z tymi chusteczkami ruszyłem w nieznaną. Tak przerwała się nasza łączność na długich osiem lat.

Wróciłem do kopalni, którą zacząłem budować. Po półtora roku szyb był już prawie zwięziony. Nie wykonywałem już tej strasznej roboty: zaczęliśmy budować chodniki /poziome wyrobiska/, było w nich mniejsze niebezpieczeństwo. W szybie nie było żadnych półek ochronnych. Zawsze mógł urwać się pojemnik /klatka/, każdy kamień nabierał szybkości, mógł człowieka zabić. Było dużo wypadków w takim szybie.

3100 G  
147  
27

Stało już kilka drewnianych baraków, ale były jeszcze i te brezentowe. Wykorzystywali je raczej na magazyny, a ludzi lokowali w tych bardziej ocieplonych, o tynkowanych ścianach i normalnych piecach. Praca była w dalszym ciągu na dole, górnicza. I tak przeszło kilka dni.

Zorientowałem się, że już tutaj pozostanę na stałe. Zapoznałem się z dyspozytorem kopalni. Był to wolny Niemiec, przychylny Polakom. Poprosiłem go, żeby dał znać na kopalnię, z której przyszedłem, że etap przybył na tzw. Ajaczia G, wtoroje szachtoprawlenije. Karol czekał okazji, kiedy będzie szedł etap. Ofi-

cjalnie mówili, że zbierają na etap, ale po cichu można się było dowiedzieć, dokąd ten etap podąża. Moja obecna kopalnia była w rozwoju, wciąż potrzebowała ludzi.

Po jakichś 3-4 miesiącach Karol zjawił się w moim obozie. Dowiedział się, w którym baraku mieszkam. Przyszedł, przywitaliśmy się, ale zachowywaliśmy się bardziej ostrożnie. Ustaliliśmy, że nie będziemy mówić po polsku przy żołnierzach. Nie chcieliśmy zdradzić się, że jesteśmy Polakami. Nasze nazwisko nic jeszcze nie mówiło, powtarzało się u Rosjan, u Litwinów, wszędzie. Przy każdym nazwisku było imię i otczestwo /imię ojca/. To mogło nas zdradzić. Jeden i drugi był synem Michała. Postanowiliśmy nie pracować w jednej brygadzie. To wystarczyło, bo do końca naszej odsiadki nie zmienialiśmy miejsca pobytu.

Brat miał specjalność elektryka kopalnianego. Zaangażowałem go do kopalni. Pracowaliśmy na różnych oddziałach, mieszkaliśmy w innych barakach. Ale spotykaliśmy się na posiłkach, a jak mieliśmy wolny czas odwiedzaliśmy się. Razem spędzaliśmy święta, Wigilię, w towarzystwie innych jeszcze Polaków. Najbliżsi przyjaciele /np. Franciszek Król, Prass, Świetlikowski, jeszcze inni/ naturalnie wiedzieli, że jesteśmy braćmi. Ale nie wiedzieli stukacze /donosiciele, kapusie/.

Taki obóz nie mógł być bez donosicieli. Wiedzieliśmy, którzy to są, ale nie krzywdziliśmy ich. Nie byliśmy mordercami. Choć był taki wypadek - jeden z naszych, Rusinowicz, zarąbał siekierą kapusia. Dostał za niego dziesięć lat wyroku więcej. Zrobił później jeszcze drugi wypadek. Przyniósł drzewo na portiernię. Byli tam uzbrojeni żołnierze. Kazali je zostawić pod piecem. Przy piecu siedział żołnierz, z boku stał jego automat. Rusinowicz położył drewno, wziął automat i zastrzelił żołnierza. Wyszedł, zastrzelił dwóch, którzy przepuszczali akurat

brygadę i sam z automatem poszedł w tundrę. Osiem dni go łapali, aż go zastrzelili. Był to rok 1958, mnie już tam nie było. Mam gdzieś fotografię tego zastrzelonego Rusinowicza; żyje jeszcze jego brat.

Było wiele takich szaleństw. Każda ucieczka, to było szaleństwo. Każde decydowanie się na ucieczkę było szaleństwem. Chociaż były i takie, które się udały. Znam dwie takie udane ucieczki.

Zaraz na początku uciekł Polak, nazywał się Wójcik. /1945? 1946?/ Był radiotelegrafistą u nas w oddziałach. Miał szczególny dar do podrabiania dokumentów. W czasie okupacji <sup>u</sup>podrabiał nam różne dokumenty. Przynosiliśmy mu blankiety z pieczętkami, a on z tego robił normalny dokument. Potrafił wykorzystać to w obozie.

Obóz był szczelny. Z obozu nie można było wyjść bez wiedzy ochrony. Każde wyjście wymagało legitymowania się. Na bramie były dokumenty, duplikaty akt; o co żołnierz zapytał, trzeba było odpowiedzieć. Kopalnia była w jednym miejscu otwarta - - nie było drutów. Była to bocznicą kolejowa, którą podstawiali wagony i wywozili węgiel. Przy wjeździe stały dwie wieże blisko siebie; gdyby ktoś chciał tamtędy uciekać, łatwiej byłoby go zatrzymać czy zastrzelić. Codziennie torami chodził <sup>dr</sup>dróżnik z młotem i badał, czy szyny nie są pęknięte. Szyny bardzo często pękały na dużym mrozie. <sup>Dr</sup>Dróżnik chodził w kolejowym mundurze, z młotkiem i stukał w te szyny. Nigdy go nie legitymowali. Ci z wież wiedzieli, kto to jest, pozdrawiali go i on ich pozdrawiał. Wchodził na teren kopalni, badał szyny do końca i po jakiejś godzinie, dwóch wychodził tą samą drogą, badając drugą stronę szyn.

Wójcik pracował tak jak ja, na hałdzie. W hałdzie zrobił so-

bie mały tunel i pomieszczenie, w którym składał różne potrzebne rzeczy, gromadził trochę jedzenia na drogę.

Kiedyś zaprosił droźnika na wódkę. Nie ma Rosjanina, który by nie pił wódki. Skusił go do tej swojej budy, ogłuszył go /Rosjanin by go udusił/, zdjął z niego mundur, związał go. Jako droźnik wyszedł z obozu drugą stroną torów. Doszedł do stacji Workuta, wsiadł do pociągu - i wyjechał.

Z Workuty trzeba było jechać najmniej dwie doby, do jakichś zamieszkałych stron. Nawet do Kotłasu, do Sętekwaru /stolica Komi SSR/ też trzeba było dobę jechać. Jak tam dojechał, zmienił pociąg. Był na tyle przebiegły, że nie pojechał od razu do granicy polskiej, tylko gdzieś dalej na wschód Rosji. Na papierach, które miał zaangażował się do pracy i jeszcze dwa lata popracował. Ubrał się. Dopiero później zdecydował się pojechać do polskiej granicy. I przekroczył ją.

Jak tam było w szczegółach, tego nie powiem. Dostyc, że przyjechał do Polski, ożenił się w Polsce, miał dwoje dzieci /żyją/, wychował je. Był ślusarzem - miał jakiś prywatny interes - wózki dziecięce robił. Później sam go wpisałem do ZBoWiD-u. Ale obóz zawsze coś za sobą pozostawia. On się rozpił, skończył źle, już dawno nie żyje.

W Warszawie mieszkali jego bracia i siostra.

Mam wątpliwości. W drodze z Workuty do Kotłasu czy do Inty były prowierki dokumentów. Tam przecież rysz się nie prześliznęła.

Podrobił sobie dokument, wszystko miał. Widocznie ten kolejarz też miał propusk.

Jak tutaj władze go potraktowały, jak dostał dokumenty? Nie cofnęli go do Rosji? W którym roku on uciekł?

Wójcik uciekł zaraz na początku w 1945, czy 1946 roku. Nie wiem, jak to tutaj było. Nie jeden stamtąd uciekał, a tu zmieniał nazwisko i dostawał dokumenty. Znam pana, który nazywał się

Kruczkowski, ma dokumenty na nazwisko Adamski i pozostał Adamski. Nazwisko zmienił, jak przekraczał granicę.

Granice przekraczali nie tylko ci, którzy uciekli z obozu. W czasie deportacji Polaków na Zachód, przesiewali i szukali podejrzanych, albo już wsypanych. Ci ludzie wyrabiali sobie dokumenty na inne nazwiska i pod zmienionym nazwiskiem przekraczali granicę. Być może tak było i z nim. Nie jestem w stanie szczegółowo opowiedzieć, sam mi tego nigdy tak dokładnie nie opowiadał. On się bał w Polsce.

Znam dezertera z Armii Polskiej, też AK-owca; nigdy się nie przyznał. Dziś jest znanym inżynierem, dyrektorem.

Wydostanie się z obozu nie było rzeczą trudną. Gdy przychodziła zamieć śnieżna, tzw. purga, widoczność była tak minimalna, że nie widziało się na pół metra. Nawet w taką purgę chodziliśmy do kopalni /kopalnia nie mogła stanąć/ - była rozciągnięta lina, szliśmy trzymając się liny. Nie można było wtedy iść w tundrę, bo by zasypało. Purga trwała czasem dwa, trzy dni. Była wtedy możliwość ucieczki. Ci, którzy pilnowali na wieżach, nawet gdyby patrzyli pod same wieże, nie zauważyliby, że ktoś tam przechodzi. Można było przeciąć druty. Można było przejść nad drutami - tyle było śniegu. Natomiast dalsze posuwanie się było już rzeczą trudną. Do ucieczki przeważnie przygotowywano narty. Od baraków do drutów było blisko, ale dalej zaczynała się droga w nieznaną. Jeżeli ktoś miał nawet kompas, to i tak nie wiedział, jak po drodze są rozłożone obozy. /teraz jest w tym zagłębiu sześćdziesiąt kopalń./ Nikt nie posiadał dokładnej mapy topograficznej. To było wielkie ryzyko.

Gdy udało się wydostać z zagłębia, dalej trzeba było brnąć

w dziewiczej tundrze. Gdy kończyła się zamieć, żołnierze orientowali się, że została zrobiona ucieczka /liczyli nas codziennie/. Wystarczyło, że wypuścili helikopter, dwa i zawsze umiejscawiali uciekinierów w tundrze. Później ich tylko doganiali. Jak się nie zatrzymywali, strzelali w czasie pościgu. Albo przywozili na miejsce, pod obóz i strzelali w tył głowy. Tak zastrzelili Jarka Odyńskiego i tego drugiego, który z nim uciekał. Leżeli później tam, gdzie ich zastrzelili.

Była kara śmierci za ucieczkę. Chociaż byli i tacy, których przywieźli z powrotem do obozu, wsadzili na kilka miesięcy do karceru a potem wysyłali do roboty. Był taki okres, że strzelali, i taki, że nie strzelali. Nie wiem, czy to paragraf się zmienił, czy to od sądu zależało.

Kiedyś uciekło dwóch. Tak samo jak Wójcik wybudowali sobie w hańdzie pokoik, poznosili tam trochę zapasów żywności. W czasie purgi weszli do tego pomieszczenia. Nie wrócili do obozu, ale nie było ich też za drutami. Postanowili przeczekać alarm i pogoń. Kilka dni intensywnie ich szukali, biegali, helikoptery latały. Tymczasem oni mieli jeszcze kontakt z obozem, przyjaciele donosili im świeżego chleba i wody. Siedzieli tak jeszcze kilka tygodni. Ogrzewali tam siebie, mieli piecyk. Na kopalni nikt nie skojarzył, że gdzieś się dymi. Dymiły się różne budki.

Wykorzystali następną zamieć i wyszli z kopalni. Nikt już za nimi nie gonił. Poszli do najbliższego osiedla. Tam znowu przeczekali. Później wsiedli na pociąg i wyjechali. Dojechali do Kotłasu. Po drodze jeden z nich zachorował. Był na pół przytomny, musiał iść do szpitala. Jego towarzysz doprowadził go do samego szpitala, pożegnał się z nim i poszedł dalej. W szpita-

JAN 2010  
115  
28

lu doszli do tego, że mają uciekiniera. Przywieźli go z powrotem. O tym drugim nigdy więcej nie słyszałem, przynajmniej do 1956 roku. Chyba że go złapali i dali do innego obozu, ale przeważnie przywozili do tego samego.

Wiesz, co się z nim stało?

Skąd mogę wiedzieć?

To skąd wiesz, że ucieczka się udała?

Dedukuję. Człowiek nigdy nie wie nic na pewno. Filozofie są różne.

Wracam jeszcze do takiej gremialnej ucieczki. W mojej brygadzie było kilku własowców. Postanowili uciec. Chcieli mnie ze sobą zabrać. Nie wiem dlaczego, czy miałem im służyć do niesienia prowiantu, a później jako prowiant, czy chcieli mnie wziąć z sympatii. Zaproponowali jeszcze jednemu Rosjaninowi. Był to Ukrainiec, nazywał się Żurba. Małutki, bardzo sympatyczny facet. Podeszedł do mnie i przestrzegł. Odmówiłem im, przyznałem się, że mam brata w obozie i nie mogę go opuścić, bo czuję się za niego odpowiedzialny. Zrozumieli to, ale poprosili, żebym im ułatwił wyjście i zrzucił ich na inną zmianę. Byłem już wtedy oddziałowym i miałem wszystkie trzy zmiany pod sobą. Przerzuciłem ich na noc do jakichś tam robót i oni tej nocy poszli.

Bardzo to przeżywałem. Alarm, ucieczka, pięciu chłopów poszło. Pośrednio byłem z tym związany, nie wiedziałem jak się to skończy. Pięć dni ich nie było i już myśleliśmy, że ucieczka się udała. Ale piątego dnia przyszedł do mnie kum i zapytał, czy to z mojej brygady byli ci, którzy uciekli. Zawołał dwóch żołnierzy, wsadzili mnie do samochodu, zabrali na rozpoznanie. Jechaliśmy 60-70 km drogami po tundrze. Stanęliśmy nad jakąś



rzeczką /dopływ rzeki Workuta/. Zobaczyłem pięciu postrzelanych mężczyzn, katorżników w kufajach. Naturalnie wszystkich rozpoznałem. Pomogli mi ich załadować na platformę. Oni na spo-  
dzie, ja na wierzchu - tak z nimi wracałem pod obóz. Wyrzucili ich przed drutami obok bramy. Sztywni, zamrożeni, leżeli tak z parę miesięcy. Ten obraz utkwił mi w pamięci i dlatego go później narysowałem /akwarelka/.

Ten rysunek był na naszej wystawie, którą urządzałem z Prassem. Prass pisząc swoją książkę prosił mnie, żebym ją ilustrował. Narobiłem mu trochę tych rysunekczków; jest tam też ten właśnie rysunek:

Słyszałem o gremialnej ucieczce całego obozu. Znam ją z relacji mojego kolegi z dywizji, inż. Matkowskiego-Zjawienia. Obecnie znajduje się on w RFN i to samo opowiadał w Wolnej Europie.

Był to obóz "Piatsot piataja strojka". Ucieczka miała miejsce przy końcu naszej odsiadki. Stalin wsadzał tam wciąż kogoś z armii. Trafiło tam na katorgę kilku wyższych oficerów. Przeżyli wojnę, przeszli ciężką służbę wojenną i nie chcieli pogodzić się z tym wszystkim. Zawiazali organizację i postanowili uwolnić się. Nie było tam daleko do lasów, było to trochę na południe od Workuty. Obóz nie był duży, liczył około dwóch tysięcy ludzi. Przy wyprowadzaniu ich do pracy /budownictwo, wyłącznie prace powierzchniowe/ zaatakowali strażników przy bramie. /Zawsze narzędzia zostawiało się na miejscu pracy, tym razem przynieśli siekiery ze sobą./ Zdobyli broń, postrzelali strażników z wież, cały obóz poszedł w tundrę i w las. Pościg poszedł za nimi prawie że natychmiast. Wiem tyle, że tych ludzi zbierali bardzo długo. Niektórym udało się bardzo daleko odejść. Nie wiem, czy zebrali wszystkich.

W jakim kierunku uciekali?

Nie widziałem.

Czy uciekali w kierunku Uralu, słyszałem o takiej ucieczce, czy w kierunku morza, Okieanu?

Do morza prawdopodobnie nigdy nikt nie uciekał. Morze stanowiło granicę Związku Radzieckiego i na pewno tam by się nikt nie przemyknął; tam były na pewno obostrzenia. Nie przypuszczam, żeby do morza uciekali. Zawsze ucieka się między ludźmi, żeby schować się między ludźmi.

Najprawdopodobniej uciekali w różnych kierunkach, ale najprędzej mogli uciekać do lasów i w góry. Zawsze ucieka się w góry. Na Uralu były lasy, ale w północnej części - Ural prawie że wchodzi do Oceanu Lodowatego - lasów już nie było. Była tundra i gołe góry.

Te góry oglądałem codziennie z odległości 30-40 kilometrów. Jak słońce zachodziło, to było wspaniałe zjawisko przyrody. Góry były tak podświetlone, że przypominały mi Mikołajka u Zalewskiego we Lwowie. Przed Bożym Narodzeniem podświetlał szklane góry za wystawą. Te góry były jakby od wewnątrz oświetlone, jakby stały wewnątrz nich olbrzymie latarnie; godzinami świeciły. Czy to był układ słońca i pyłów kosmicznych?

Była tam też zorza polarna, prawie że na co dzień. Latała sobie nad nami. Bardzo piękne zjawisko.

Słyszałem o takiej ucieczce obozu, gdzie oni chcieli wyzwalać inne obozy.

Owszem, byli i tacy szaleńcy.

W obozach były drużyny piłki nożnej /Prass grał w piłkę nożną/. Organizowane były zawody między obozami. Na meczu spotkałem przyjaciela z mojej dywizji. Był to kapitan Miczyk /?/, ps. Lach. Zapytał mnie, co ja tutaj robię. Odpowiedziałem, że pra-

cuje. Zdziwił się. "No, co ty, głupiałeś, my już jesteśmy uzbrojeni i w każdej chwili jesteśmy gotowi wyjść z obozu i wyzwalać innych."

Ale nożem i siekierą nie można walczyć z uzbrojonymi ludźmi. Nie było żadnej możliwości dostania broni. Żołnierzy przy obozie było niewiele. W stosunku do siedmiotysięcznego obozu, było dwustu, trzystu żołdatów. Na pewno mieli broń wymienną, a może mieli trzysta automatów. Czy z trzystoma automatami można wyzwalać inne obozy? Bzdura, nie wierzę w to. Tylko mitomani mogli opowiadać coś takiego.

Ucieczka "piatsot piątej strojki" to fakt. Wszyscy uciekli. Na pewno wszyscy zostali wyłapani, nielicznym może się udało. Było to za daleko od osiedli ludzkich. Owszem, zdarzały się wypadki, że jak ktoś dostał się do lasów, mógł tam żyć miesiącami. Ale nie każdy. Czytałem wspomnienia takich uciekinierów, którzy opisywali, że strzelali do zwierząt, żywili się ich mięsem. Podobno niedawno znalazł się w lasach jakiś żołnierz japoński, który jeszcze nie wiedział, że wojna się skończyła.

Słyszałem też, że z jednej kopalni usiłowali uciec balonem. Przy każdej kopalni są tzw. akumulatorownie, tam wytwarza się wodór. Mieliśmy odzież z brezentowego, gumowanego, nieprzepuszczalnego płótna. Uszyli sobie taki balon. Wylecieli w nocy z hałdy, ale zalecieli tylko za druty i spadli w tundrę.

Ponieważ nie było łączności, nie można było legalnie przesyłać listów między obozami, robiliśmy to nielegalnie. Dwóch chłopców z mojej brygady było bez wyroków /nie byli sądzeni, niczego im nie udowodnili, niemniej byli aresztowani i wywiezieni/. Był to Mundek Weber i Waldemar Niemiec. Od razu byli

wyrzuceni za druty. Jeden ożenił się z Litwinką, drugi z rosyjską Polką. Mieli dzieci. Byli wielkimi mechanikami górniczymi /kończyli technikum drohobyckie nastawione na umiejętności górnicze/. Od czasu do czasu musieli przychodzić do obozów. Spełniali funkcje kierownicze przy bazach remontowych. Przez nich od czasu do czasu przierzucaliśmy listy.

Jeżeli wysiadał jakiś kombajn lub inna maszyna /były różnego rodzaju wrębówki/, meldowaliśmy o tym do bazy. Naprzód wysyłali eksperta, by stwierdził, czy kombajn trzeba wytransportować, czy wystarczy posłać fachowca. Tym ekspertem był przeważnie kierownik bazy - albo Mundek Weber, albo Niemiec. W kopalni już bardzo łatwo było się spotkać, rozmawialiśmy, uzgadnialiśmy różne sprawy i przekazywaliśmy im listy.

To była bardzo niebezpieczna dla nich funkcja, oni zawsze mogli być podejrzani, że coś takiego wynoszą, mogli się tym narazić. Ale robili to, trzeba im przyznać, że pod tym względem byli w stosunku do nas lojalni. Przenosili tysiące listów. I taka była łączność, bardzo rzadka, między kierpicznym zawodem, między paniami, które tam pracowały, a nami. Te listy były pół miłosne, relacjonowały nasze życie, naturalnie była i poezja.

Ja byłem przypisany Cesi, Swietlikowski Steni, Cis Wandzie, Hance - Marek /Grzywacz/. Potworzyły się korespondencyjne, fikcyjne pary. Nie widzieli się na oczy. Zetknęli się dopiero po wyjściu z obozów. Tylko ja znałem Cesię. Później powstawały rezonanse. Wanda była słuszną, postawną dziewczyną, a poeta Kazio Cis - mały liliput. Byłaby to śmieszna para. Wanda nie zdecydowała się na Kazia. /Kazio mieszka w Warszawie./ Ale Hanka wyszła za Grzywacza, dwadzieścia lat starszego od siebie. Mają dwie córki.

JANKO H  
150  
30

W każdym środowisku, nawet w takim małym, zawsze znajdują się ludzie z potrzebą twórczego działania. To jest ludziom potrzebne. Każdy z nas próbował. Winogrodzki napisał wspaniały utwór. Prass miał go przeczytać, a ze strachu go zniszczył. Więcej było pisaków: Świetlikowski pisał wiersze, ja też próbowałem. A Pełka to był pisarz, poeta, malarz - to był naprawdę uniwersalny talent. Jureczek był wśród nas chyba najbardziej czytany. Kazik Cis, poeta, wydał poezje nawet w Polsce. Było kilku takich.

Umiałem śpiewać i brzdąkałem sobie na gitarze, zachowując tylko rytm. Wszyscy byli pewni, że gram także na gitarze. A ja nawet "Boże, coś Polskę" nie potrafiłem zagrać. Każdy próbował swoich sił w jakiejś dziedzinie.

Tak powstał KaSK /skrót: Klub Starych Kawalerów/. Nie znalazłem się w KaSKu. Nie włączono mnie, bo albo za mało pisałem, albo ci panowie uważali się za doskonalszych i nie mogłem z nimi konkurować.

Rosjanie przetłumaczyli KaSK jako hełm i myśleli, że to jest kryptonim organizacji. Wszystkich tych listomanów poaresztowali i zrobili z tego ogromną sprawę. Nieludzko ich katowali. Groziła im nawet kara śmierci. Zarzucali im, że mają łączność z zagranicą. Wtedy łatwo było człowiekowi coś przypisać. Jak taki śledczy się wziął, a był jeszcze tumanowaty...

To była wyraźnie rozdmuchana sprawa o charakterze prowokacji nieledwie. Pretekstem były wasze sentymentalne zabawy, ale oni chcieli z tego zmontować wielką sprawę.

Naturalnie, naturalnie. Później trafił się sędzia, prokurator czy śledczy mądrzejszy... I czas był już nie ten. Sprawę zlikwidowali, sprawców porozrzucali po różnych kopalniach do normalnej pracy. Ale co im napisali w aktach, to im napisali.

Na pewno mieli dodatkowy wpis w życiorysie: element niepewny politycznie. Za każdym szła jakaś opinia. Wszystko notowali w tych aktach. A jak już zapisałeś się do jakiegoś KaSKu, to już była wyraźna polityczna organizacja dla takiego idioty, który prowadził śledztwo. Bo to byli idioci... niedouczeni. Gdyby to byli prawnicy jacyś...

Myślę, że nie byli to idioci, tylko ludzie, którzy chcieli podkreślić swoją ważność, czujność, niezbedność...

Tak, na pewno chcieli podkreślić swoją ważność. A że byli to przeważnie niedouczeni, głupi ludzie, świadczy zdarzenie z naszego obozu.

Kiedyś komendant obozu zauważył, że królik przebiegł z jednego baraku do drugiego. Między barakami były drewniane chodniki, trapy. Pod tymi trapami żyły króliki. Ktoś sprowadził parę królików i rozmnożyły się w obozie. Może je trochę podkarmiali. Komendant dał rozkaz - "Sniat trusy w łagierie", czyli zlikwidować króliki. Oni to zrozumieli inaczej. "Trusy" oznaczają jeszcze krótkie gacie. Na każdym apelu kazali nam się rozbiierać i zdejmowali te krótkie gacie z każdego, kto je miał na sobie. Potem zebrali te gacie na drut i zanieśli panu komendantowi. Rozkaz został wykonany. Oni na pewno byli matoły.

KaSK to była taka śmieszka sprawa. Dzisiaj nikt nie uwierzy, że z tego zrobili taką sprawę. A ile ludzie wycierpieli...

/W KaSKu był także Romaszewski. On też był wielki pismama i też pisał listy./

Stawaliśmy się fachowcami, z początku niewielkimi. Byłem wiertaczem, budowaczem. Brat był elektrykiem. Później posłano nas na kurs sztygarów zmianowych - jego na kurs elektryków, mnie - sztygarów zmianowych. Był to trzymiesięczny kurs. Ponie-

waż mieliśmy odpowiadać za życie ludzi, musieliśmy uzyskać jakąś wiedzę o eksploatacji węgla. Tam tę wiedzę uzyskaliśmy. Uzyskaliśmy jednocześnie świadectwa. Po kilku latach wysłali nas na wyższy kurs, kurs sztygarów oddziałowych. Mogliśmy prowadzić już oddział. W zasadzie, w warunkach katorgi, takie oddziały powinni byli prowadzić tylko ludzie wolni, ponieważ podlegały nam materiały wybuchowe. To kłóciło się z ich przepisami. Obeszli to w ten sposób, że materiały te podlegały nam, ale dostawali je do rąk tylko ludzie wolni. Miałem prawo wypisać ten materiał /ilość materiału potrzebna do odstrzelenia przodku/, ale pobrać go mógł tylko człowiek wolny i on za jego zużycie odpowiadał. Resztę musiał odnieść z powrotem do składu. Skład znajdował się poza obozem.

Do mojego awansu w górniczej karierze obozowej przyczynił się pan Franciszek Król. Był on naszym obozowym seniorem, zajmował stanowisko planisty. Miał dostęp do różnych organizacji obozowych i zapisał nas na te kursy. Uważał, że później mogą się koło nas skupić Polacy.

Czy on właśnie załatwił papiery Świetlikowskiemu?

Świetlikowski mógł sam się wpisać, ale nigdy by kogoś nie wpisał. Pod tym względem był egoistyczny. Dopiero w Polsce powiedział mi, że zrobił taki dyplom. Mnie nie wpisał.

Wpisał nas pan Franciszek Król. I faktycznie, jak staliśmy się osobami dozoru, zaczęli się koło nas skupiać Polacy. Ponieważ łatwo było przerzucić kogoś z brygady do brygady, zawsze miałem 15-16 Polaków na swoim oddziale. Z jednej strony chodziło o to, żeby im pomóc, z drugiej, żeby samemu mieć przyjemność, a czasem nawet obronę. Konflikty w pracy mogły się wydarzyć, Polacy stanowili dla siebie oparcie. Z tymi Polakami

trzymałem się aż do końca.

Lata biegły. Zbliżał się rok 1953. Zmarł nagle Josif Wisorionowicz Dżugaszwili Stalin. Wyczuliśmy, że coś się musi zmienić, że to niemożliwe, żeby monolit terroru pozostał nietknięty. Różne były reakcje wolnych, niektórzy nawet i płakali za Stalinem. Była taka gruzinka inżynier - płakała jak bóbr. Wszyscy inni, szczególnie więźniowie, radowali się po cichu. Już na dole dowiedziałem się, że Stalin nie żyje. Gdy wyjechałem z kopalni, grali akurat requiem. Uradowany zapytałem: "Szto taka torżestwiennaja muzyka idiot?". Udałem, że nie wiem, co się stało. Ktoś zapytał mnie, co mi tak wesoło. Zorientowałem się, że to kum i wytłumaczyłem, że nie jestem Rosjaninem i pomyliłem słowa: chciałem powiedzieć "smutna muzyka", a nie "uroczysta". "No, Jankowski, my тебе znajem" - pogroził mi, ale nie miał już odwagi represjonować mnie za to. W innych okolicznościach na pewno dostałbym 10 dni aresztu.

Kończyła się tzw. zimna wojna. Adenauer chciał przystąpić do rozmów ze Związkiem Radzieckim. Zażądał wstępnie zwrócenia jeńców wojennych. Ustalili, że tak długo jeńców wojennych nie powinni trzymać. Rosjanie poszli na tę umowę i zaczęli zwalniać z obozów wszystkich Niemców. Byliśmy już zżyci z tymi Niemcami, nawet zaprzyjaźnieni. Warunki nas zbliżyły. Zresztą oni, kiedy przestali być SS-owcami czy Wehrmachtowcami, byli normalnymi ludźmi. Nawet szczerze powiem, że wolałem mieć za przyjaciela Niemca, jak Rosjanina. Mogłem zostawić chleb, czy jakieś wartościowsze przedmioty i wiedziałem, że mi tego nie ukradnie. Rosjanie byli różni.

Niemcy odjeżdżali. Żegnaliśmy się z nimi. Miałem w brygadzie dwóch Niemców, którym pomogłem swego czasu wydostać się z gor-



szych warunków. Zaprzyjaźniliśmy się później. Żegnając się jeden z nich powiedział, że jak tylko będzie w Niemczech, da znać przez Wolną Europę /wiedzieli, że ta stacja pracowała/, gdzie jesteśmy. Obozy były zaszyfrowane. Każdy obóz, tak jak jednostka wojskowa miał swój szyfr. Nasz obóz był oznaczony przez "PJa 175 ŻE" /PJa - pocztowyj jaszczik/. Gdy na kopercie był napisany ten kod, list dochodził do mojego obozu.

Pewnego dnia do mojej matki przyleciała sąsiadka z wiadomością. "Pani Jankowska, Pani Jankowska, nadawali przez radio, że bracia Jankowscy znajdują się w obozie w Workucie". Zapisała ten adres i moja matka napisała pierwszy list. Ta sąsiadka to była matka Zarzyckiego. Wcześniej znała adres syna i napisała do Olka. Moja matka i matka Olka mieszkały wtedy w Gdańsku, we Wrzeszczu. W ten sposób dowiedziałem się, że żyje moja matka, siostra i inni znajomi. Wiedziałem już, gdzie sam będę wracał. Wprawdzie nie przewidywaliśmy jeszcze szybkiego uwolnienia, ale wiedzieliśmy, że to się musi zakończyć sukcesem.

Po śmierci Stalina spodziewaliśmy się, że coś się musi stać. Zaczęliśmy się zbierać, nie baliśmy się siedzieć razem i debatować po pięciu, sześciu Polaków. Przywieziono do nas kilku pułkowników, których złapano po ucieczce z "505 strojki". Nie rozstrzelali ich. Nigdy nie doszli, kto był organizatorem, a nie zdecydowali się na rozstrzelanie całego obozu. W naszym obozie stali się też zaczął organizacjami. Bardzo nas szanowali, cenili, Sprzyjali nam. Wiedzieli, że jesteśmy Armią Krajową. Namawiali nas, by im pomóc w rozwiązaniu wspólnego problemu. Postanowili zrobić strajk. Zawiązywały się komitety. Zastanawialiśmy się, czy pójść na to, ale w końcu co mieliśmy do stracenia.

"Strajk" - to było trefne słowo w leksykonie rosyjskim. Tego słowa tam nie używano - była albo kontrrewolucja, albo sabotaż.

Chciałbym tu podać pewną dygresję. Wybuch strajków jednocześnie na ogromnych przestrzeniach Związku Radzieckiego daje wiele do myślenia i są zdania, mocno podbudowane, że to była po prostu NKWD-owska prowokacja, znowu żeby podkreślić ich niezbędność malejącą po śmierci Stalina. Jak się na to zapatrujesz?

J. 149 31  
Podzielam to zdanie, to mogło tak być. Tak zwana podpucha. Świadczy o tym choćby fakt, że kum nie chciał mnie represjonować po śmierci Stalina. Być może tak było, ale prowokowanie tych strajków na pewno odbywało się na szczeblach wyższych. Za łatwo się to odbyło.

Jeżeli przed strajkami ktoś napisał list do żony, że wkrótce wyjdzie /zawsze pocieszało się żony/, żona pochwaliła się sąsiadce, a sąsiadka miała męża w NKWD, to wystarczało to, żeby takiego chłopca zgnoiłi. Przypisywali mu jakąś organizację, ucieczkę, bili go, żeby wydawał innych. Tak jak z KaSKiem. Wtedy już tego nie robili, mimo że ludzie zbierali się, pisali listy przez wolną pocztę. Przychodziły etapy z Karachandy do Workuty i przynosiły wieści, że tam ludzie też zaczynają się organizować.

Nawet jeżeli w rządzie zrobili się jakieś partie czy przygotowywał się zamach stanu, to nie jest możliwe, żeby oni potrafili to w takiej skali zorganizować...

To działo się na wyższych szczeblach NKWD...

Ja nie dociekam tego, jaka była przyczyna pierwotna, opowiem, jak to odbyło się u nas, w Workucie.

Utworzyły się normalne komitety strajkowe i byliśmy gotowi do strajku. Mówię o swojej kopalni "Ajacia C", czyli na 12, 14, 16 kopalni - były to trzy kopalnie. /Szachtouprawlenie nomier 2 - Szu 2/.

Nie my pierwsi stanęliśmy, nie od nas to wyszło. Była dyrek-

tywa, że będziemy czekać na sygnał. Prawie wszystkie kopalnie były w zasięgu wzroku, choć skrajnej kopalni nie było widać. Ale jedna kopalnia od drugiej była o 6-7 km i były one dla siebie widoczne. Każda kopalnia ma wieżę wyciągową /koła, przez które przerzucone są liny/. Koła są zawsze widoczne. Gdy kopalnia normalnie pracuje, koła stale się kręcą. Stają na chwilę, gdy wsiadają ludzie, gdy wagon się klinuje. Gdy koła nie obracały się godzinę, to wiadomo było, że jest jakaś większa awaria. Ustaliliśmy, że jeżeli kopalnia 7, widoczna gołym okiem nasza sąsiadka, stanie - jest to znak do strajku. Daty tego strajku nigdy nie mogę zapamiętać, wiem, że było to lato - - było już ciepło, był dzień. Był to czerwiec albo lipiec 1954 rok, prawie rok po śmierci Stalina. Zorientowałbym się w czasie, gdybym znalazł pierwszy list od mojej mamy. Przyszedł akurat w czasie tego strajku. Pamiętam to jak dzisiaj. Nawet Olek ten list dostał; Olek dostał ten list od swojej mamy.

Do strajków przystępowaliśmy z ochotą, wiedzieliśmy, że warto powalczyć. Najważniejsze było to, że zwolnili wszystkich Niemców, czyli tych, którzy zaczęli wojnę. Nasza działalność była skutkiem wojny, ale my zostaliśmy w obozie. Czy tym zawniliśmy, że musieliśmy walczyć przeciwko hitlerowcom i zawiązywaliśmy podziemne organizacje? To też była jedna z przyczyn, która mobilizowała nas do dalszej walki. Odżył w nas duch partyzancki. Czekaliśmy na sygnał.

Któregoś dnia, w czerwcu albo lipcu, maszerowaliśmy do kopalni. Był dzień, słońce zachodziło na pół godziny, ale było tak jasno, jakby słońce świeciło, jakby chowało się tylko za chmurę. Przez całą drogę patrzyliśmy na koła kopalni 7. Droga, wraz z przepuszczaniem przez bramę, trwała prawie godzinę. Koła stały.

Wiedzieliśmy, że to się już zaczęło.

W kopalni poprzebieraliśmy się. Mieliśmy już wtedy ubrania na zmianę, tzw. specodzież: hełmy i stare, watowane kurtki i spodnie. Wracając do obozu myliśmy się w łaźniach pod prysznicami. Wracaliśmy czysti.

Przebrani w odzież górniczą pobraliśmy lampy i jak to zwykle przed zjazdem w dół usadowiliśmy się dokoła szybu. Ale nikt z nas nie spieszył do klatki. Sygnalista, który stał na sygnale, wołał: "Sadities, Sadities!". W końcu musiał zameldować do dyspozytora, że nikt nie chce zjeżdżać.

Na szyb przybiegł naczelny inżynier. Zaczął delikatnie: "No, czto, rebiata?". Nikt z nim nie rozmawiał, siedzieliśmy dalej, jakby to nas nie dotyczyło. Wtedy zdenerwował się: "No czto, to ja pozwu strażę!". Zatelefonował. Za chwilę przybiegło kilkunastu karabinierów. Ale zachowywali się bardzo spokojnie. - "Czto? nie, pojedietie wnis? To idźcie, porozbierajcie się, pójdziemy z powrotem do obozu!". Na takie dictum wstaliśmy jak jeden mąż, rzuciliśmy na kupę lampy i poszliśmy się porozbierać. Wykapaliśmy się jeszcze i za chwilę poszliśmy z powrotem.

Zmienialiśmy się zawsze na dole. Zjeżdżaliśmy, odbieraliśmy zmianę na miejscu, tamci wyjeżdżali. Tym razem czekali i czekali. Gdy dowiedzieli się, że my na dół nie pojedziemy, zostawili wszystko i także wyjechali. Do obozu poszły z powrotem dwie zmiany, a za nami całe kierownictwo kopalni.

Przyszliśmy do obozu i wiedzieliśmy wszyscy, że to jest strajk. Niepewność była wielka, nie wiedzieliśmy, jak oni zareagują.

Zaczęli z nami rozmawiać, bardzo delikatnie. Naczelnikiem szachtouprawienia była kobieta, Ksienia Andriejewna Płastinina. Bardzo miła pani. Podkochiwaliśmy się w niej z bratem, ona

bardzo lubiła Polaków. Nawet mieliśmy u niej pewne ulgi jako Polacy. Wierzyła nam, że jesteśmy solidni, nie oszukujemy. W górnictwie to jest ważna sprawa. Raporty musiały być zawsze solidne. Nie można było niczego zataić. Przyroda jest przyrodą i żywioł zawsze wykrywał jakieś niedociągnięcia.

Powiedziała nam wtedy: "Ja was rozumiem, powinniście walczyć, bo to jest wasze życie. Ale nie róbcie głupstwa, powinniście zabezpieczyć kopalnię do czasu, kiedy przyjdą jakieś rezolucje". I faktycznie, utworzyliśmy taki komitet, kilka brygad, które miały zabezpieczać kopalnię niepracującą. Tam gdzie były pompy wód, wysyłaliśmy na zmianę pompkarzy. Pompy muszą chodzić stale, bo kopalnię można bardzo szybko zalać. Później utworzyliśmy takie brygady i tam gdzie powstawały jakieś samoczynne zawały. Nie wszędzie obudowa wytrzymywała. Wysyłaliśmy brygady do zmiany stempli, żeby nie zostały zniszczone maszyny, kombajny czy transportery. Wprowadziliśmy europejski strajk. Nie było tylko wydobywania. Chodziło przede wszystkim o zabezpieczenie się przed zarzutem sabotażu. Powiedzieliśmy Ksieni Andrejewnie i naczelnemu inżynierowi /Arionow/, że my walczymy o swoje prawa i nie możemy już z nimi rozmawiać. Żądamy władz z Moskwy. Nie widzimy przyszłości w tych warunkach. Już prawie 11 lat pracujemy niby jako tymczasowo internowani /tak nas nazywali/.

Przecież mieliście wyroki.

Mieliśmy wyroki, ale oni nie chwalili się przed światem, że to są ludzie z wyrokami, tylko "wriemiennie internowani". Tak samo, jak tych Niemców trzymali - "wriemiennie", ale było to ponad 10 lat.

Bardzo przyjemnie rozstaliśmy się z Ksenią Andrejewną. Powie-

działała nam: "Do swidanja, rebiata, do swidanja". Pożegnała się z nami. "Rebiata" - to jest u nich wielkie słowo. Jak się mówi "rebiata", mówi się życzliwie /agresja: "Ty swołocz, takoj, siakoj"/. Pozrywaliśmy jeszcze te swoje łaty, tak że staliśmy się bardziej anonimowi. Nie mogli nas z daleka rozpoznawać. Ale mieli swoich stukaczy /donosicieli/, więc i tak wiedzieli, kto gdzie chodził i z kim rozmawiał. Polacy w takich sytuacjach są bardzo aktywni. Byliśmy już zresztą przeszkoleni w czasie okupacji i bardzo szybko zaczęliśmy pomagać nawet Rosjanom czy innym nacjom. Byliśmy w tym strajku aktywni, później ponieśliśmy tego konsekwencje.

Czekaliśmy na przyjazd jakiegoś przedstawiciela z Moskwy. Minęło dosłownie 12 dni, jak dowiedzieliśmy się, że ma przyjechać do naszego obozu generał Maślinikow. Nie wiem, czy to był generał NKWD, czy wojskowy. Do nas przyszedł w mundurze NKWD..

Czy to był naczelnik Workutłagra?

Był z Moskwy. Na pewno nie był z Workutłagra. Przesłali kilku generalnych prokuratorów z Moskwy.

Czy przyjechał do was Rudenko?

Nie, do nas przyjechał Maślinikow.

Wymień mi te osoby, ze znanych nam obydwu twoich kolegów, którzy byli w tym obozie.

Olek Zarzycki, Franciszek Król, Zwinogrodzki, Świetlikowski, Kazik Cis, mój brat, Jurek Gardynik i wielu, wielu innych. Gutry już był na wolności. /Była amnestia dla tych, którzy byli sądzeni jako niepełnoletni./

Gdy Maślinikow przyjechał, kazali nam się zebrać. Za drutami, koło bramy ustawione były megafony. Zauważyliśmy też, że dokoła dali wzmocnienia, wkopali się, ustawili karabiny maszynowe ze wszystkich stron obozu. Druty były pod obstrzałem.

Maślinikow przyszedł do obozu i kazał nam się zebrać na placu apelowym. Zaczął delikatnie: "Nu, rebiata, nu szto? Poczemu nie rabotajecie?". W zasadzie nie było chętnych, żeby mu to wyjaśnić.

Czy stworzyliście jakiś komitet? Czy była podgrupa polska?

Do komitetu polskiego należał Zwinogrodzki, Prass, Adam Galiński, Blinstup Longin, Zbigniew Lis, ja i Świetlikowski. Jurek Gardynik nie wszedł, bo chorował.

Świetlikowski sugerował mi, że sygnał do zabastowki dał mu jakiś błatnoj. Sugerował również, że był jednym z waszych wodzów duchowych.

Niewątpliwie należał do elity, był bardzo inteligentny.

Był też w spółce z błatnymi.

Mówił mi, że nie znany mu błatnoj powiedział: "Zawtra zabastowka".

Był z nimi w spółce. Kazał im sygnalizować z dachów baraków na inne obozy. Było to niewidoczne, nikt by nie zobaczył, obozy dzieliło kilka kilometrów. Wiem, że on coś z nimi kręcił, a oni go słuchali. Błatnyje bali się strajków. Byli po stronie rządów. Strajki były im nie na rękę. Tracili chleb. Wiedzieli, że my walczymy o jakąś sprawiedliwość i kto wie, jak to się potoczy. Z drugiej strony tworzyli mniejszość zupełną. Wiedzieli, że jeżeli obejmie władzę w czasie strajku, możemy ich nawet zlikwidować. Byli bardzo grzeczni, asekurowali się i coś tam Świetlikowskiego słuchali.

Przed Maślinikowem z przygotowanym wcześniej przemówieniem wystąpił Zwinogrodzki. Później wystąpił jeszcze jeden Rosjanin, który literackim językiem wyłuszczył wszystko Maślinikowi. A najważniejsze, że przypomniał o zwolnieniu Niemców i upomniał się o los pozostałych, nadal niewinnie cierpiących.

Maślinikow przerwał to przemówienie: "Teraz wiem, kto zorganizował tych ludzi, skoro tacy jak ty tutaj przewodniczą. My

30

z każdą kontrrewolucją damy sobie radę. Daję wam ultimatum: jeżeli nie przystąpicie do pracy, będziemy walczyć". Zabrał swoją świętą i wyszedł z obozu.

Zaczelismy się naradzać na placu apelowym. Trudna była ta narada, bo tłum był podburzony i żadne rozsądne zdanie nie przemawiało. Nie można było zdecydować, że dosyć tej walki, zrobiliśmy, co zrobiliśmy, idziemy do pracy, a oni niech się zastanowią. Niektórzy zaczęli wykrzykiwać: "Mordercy, krwiopijcy, wasze ręce po łokcie w naszej krwi". Cała masa zaczęła falować, zaczęły się krzyki. W tym momencie usłyszeliśmy z megafonów: "Rojmia rewolucji oktiabrskiej - ogoń". I otworzyli ogień. Był to próbny ogień, ale było dwóch zabitych. Nie pamiętam, jakiej narodowości byli ci ludzie, ale nie było wśród nich Polaka. Było kilku rannych. Były to przypadkowe kule, bo ogień nie był skierowany prosto na nas. Jakby skoncentrowanym ogniem w taką masę plunął, to by była masakra. Przerwali ten ogień.

Wszyscy zaczęli uciekać z placu apelowego, schowalismy się w barakach. Wtedy weszło do obozu kilkunastu żołnierzy. Rannych zabrali do obozowych szpitali. Chcieli zabrać zabitych, ale powiedzieliśmy, że ich pochowamy. Zaczęli chodzić po barakach i rozmawiać z nami. - "Dosyć tej walki, idźcie do roboty, bo to się źle skończy." Postanowiliśmy pójść do pracy.

Następnego dnia rano odbywało się normalne wyprowadzanie ludzi do pracy. Ale na bramie stał kum z listą nazwisk. /Nie malowalismy już więcej numerów katorżniczych./ Nie wszyscy przeszli przez bramę. Niektórym kum kazał odchodzić na bok. Pierwsi poszli Swietlikowski, Kazik Cis, Winogrodzki, Olek. Zostali wyprowadzeni chyba do więzień, bo długo jeszcze siedzieli w więzieniach. A my - ja, Prass, Adam Galiński, Zbigniew Lis - chyba jeszcze ze dwa tygodnie chodziliśmy do pracy. Pewnej nocy przysz-



li po nas i zabrali wszystkich pięciu. Wtedy rozdzielili mnie z bratem.

Pojechaliśmy do sąsiedniego obozu, do siódmej kopalni, gdzie prawdopodobnie rozpoczął się strajk /pewny nie jestem/. W tym obozie odgradzili drutami dwa rzędy baraków z jednego boku, postawili wieże strażnicze między nimi a resztą obozu. Tam nas ulokowali. W barakach było z 500 ludzi. Większość stanowili Ukraińcy. Było pięciu Litwinów, pięciu Estończyków, kilku Łotyży i my, Polacy. To nie był jeszcze obóz karny, było to przygotowanie na dalszy etap.

Wiadomo, co to znaczy obóz karny. Przekreślone zostało wszystko, czego się wcześniej dorobiliśmy: ulgi do zwolnienia, dobra opinia, zaczioty. Wpadliśmy w niełaskę. Wtedy postanowiliśmy już więcej w ogóle do pracy nie iść.

W tym nowym obozie rozgrywały się sceny tragiczne. Ukraińcy załatwiali między sobą osobiste porachunki. Wystarczyło w obozie być kucharzem, chleborezem /jak Swietlikowski/, żeby się narazić. Ukraińcy robili to swoim zwykłym, wypróbowanym sposobem. W obozie było niepisane prawo - jeżeli ktoś ukradł chleb, wszyscy go bili. Odbywał się lincz. Każdy, nawet najślabszy, taki, który sam ledwie chodził, brał jakąś deskę i walił złodzieja po głowie. Bo on ukradł chleb. Chociaż ukradł go z głodu. Bardzo często kończyło się to tragicznie.

Polacy nie kradli, Rosjanie kradli bardzo często. Słabi ludzie to robili, chociaż też trzeba było mieć odwagę, by ukraść komuś chleb. Za chleb prawie że zabijano.

Jeżeli ktoś ukradł jakiś ciuch, cokolwiek, nawet buty, mógł być pobity tylko przez władze. Robił im jakiś kłopot. Nie mogli

np. wyprowadzić go do pracy. Mógł być pobity czy szykanowany przez władze. W zasadzie nie było wtedy linczów.

A tam wystarczyło też ukraść buty. Nikt tych butów nie kradł, tylko jak naznaczyli kogoś na stracenie, to po prostu podkładali mu buty pod pryczę. Wystarczyło, że ktoś wstawał i mówił: "Gdzie moi sapogi?". Zaczynali poszukiwanie. Znajdowali buty u tego, któremu je podrzucili. I zaczynali go młócić. Potem ciągnęli już ciało do suszarki. Na rano był tam trup.

Musiało się to odbywać jako egzekucja ogólna, żeby nie można było nikogo pociągnąć do odpowiedzialności. Wykorzystywali jeszcze inne warunki. W łaźniach była zawsze zupełna mgła. Było tam zawsze zimno i ledwie ciepła woda parowała. Nic tam nie można było zobaczyć. Takiego przeznaczonego na stracenie podnosili i rzucali go na beton. Następowo było złamanie kręgosłupa i człowiek ginął. Było kilka takich linczów w tamtym obozie.

Przestraszyliśmy się wszyscy po tych linczach. Nie wiedzieliśmy, co to będzie. Pewnego dnia wszystkie narodowości - Litwini, Łotysze, Estończycy, kilku Węgrów - zorganizowali się nie porozumiewając się z nami, wyszli pod wieżę i zaczęli zawołać wartownika. Strażnicy byli zobowiązani ich ochronić. Wyprowadzili ich z tego obozu. Zostało nas tylko pięciu Polaków wśród morza Ukraińców. Nie wiedzieliśmy jak z tego wybrnąć.

Adam Galiński, nasz senior, był inwalidą /chorował na serce/ i nie był wyprowadzany do pracy. Obiecał nam, że będzie pilnował w nocy, żeby nikt nam niczego nie podrzucił, a w dzień, jak wszyscy wyjdą do pracy, odeśpi.

Następnego dnia rano w stołówce, staliśmy jak zawsze razem, podszedł do nas taki sotnik, Ukraińiec i powiedział po polsku /oni umieli mówić po polsku/: "Proszę panów, prosimy żeby pa-

nowie od dzisiaj brali sobie bez kolejki. Prosimy się nie bać, nic panom nie grozi z naszej strony. Jesteśmy zaszczytzeni, że panowie nie wyszli z innymi nacjami, tylko jesteście po naszej stronie". Nie wierzyliśmy im bardzo, jak nigdy zresztą, ale od tego czasu kłaniali się nam, rozmawiali z nami, przystępowali. /To byli sotnicy, czy inni oficerowie. Taki sotnik był w randze pułkownika, zdaje mi się. Oni mieli jakieś stopnie./ Codziennie po tym trapie, po chodniku spacerowali z nami i rozmawiali. Było tam kilku inteligentów ukraińskich, m.in. dwóch profesorów z Politechniki Lwowskiej. Jeden miał takie szlacheckie nazwisko - Hryćko Podilskij. Był matematykiem. Zaprzyjaźniłem się z nim. Uczył mnie matematyki wyższej. Myśleliśmy, że jednak wrócimy, że coś wywalczymy, była już jakaś nadzieja. Nie chodziliśmy do pracy, zaczęliśmy się uczyć. Profesor miał nawet kilka książek i zacząłem poznawać całki, różniczki, co mi się bardzo później na politechnice przydało.

Prass mówił mi, że bardzo zaprzyjaźnił się z Ukraińcami i że oni uważali go potem za jakąś wyrocznie.

To prawda. Prass był w stopniu przedwojennego porucznika. Miał dyplom podpisany przez Rydza-Smigłego i Mościckiego. Był starszy od nas o 15-16 lat. To była wtedy różnica. I faktycznie ci Ukraińcy mieli go za atamana.

Stało się trochę bezpieczniej. Nabraliśmy pewności, że nic nam nie zrobią. Ale pobyt w kopalni 7, w tych dwurzędowych barakach kończył się. Zapowiadali nam, że pojedziemy na dalszy etap. W tych warunkach, w jakich się znaleźliśmy, wywózka na dalszy etap budziła różne prognozy. Mogli nas wywieźć w tundrę i wszystkich zlikwidować. Powstała wspólna myśl /Galiński komunikował się z Ukraińcami/, że będziemy się bronić przed tą wy-

wózką. Ale wiedzieliśmy, że wielkich szans nie mamy.

Gdy zakomunikowano nam, że zostaniemy wieczorem załadowani do wagonów, Ukraińcy postanowili zlikwidować tę część obozu, w której mieszkaliśmy. Wynieśli z baraków wszystko - prycze, stoły, krzesła. Zrobili ogromne ogniska, watry i śpiewali przy nich swoje bohaterskie, ukraińskie pieśni. A my, jako ci, którzy podpisali z nimi pakt nieagresji, a nawet pomocy wzajemnej, byliśmy solidarnie obok nich. Wypaliliśmy wszystko, zostawiliśmy gołe ściany.

Wieczorem uformowali z nas etap i zaprowadzili do najbliższej stacji. Na bocznicę stało z dziesięć normalnych, bydłowych, rozsuwanych wagonów. Nie były to stołypinki, stołypinkami jeździli tylko carscy więźniowie. Nie było tam nawet prycz. Każdy wziął ze sobą woreczki z jakimiś tam szmatami. My, Polacy wsiedliśmy sami do jednego wagonu, a Ukraińcy mieli te dalsze wagony. Cały komitet ukraiński wszedł do pierwszego wagonu. Przypięli lokomotywę i pojechaliśmy. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Mijaliśmy obozy, minęliśmy Workutę. Po jakiejś godzinie jazdy pociąg zatrzymał się. Było to kilka kilometrów za stacją Nierusawiej. Tu kończyła się bocznicą. Zobaczyliśmy małe, świeżo wybudowany obóz. Postanowiliśmy nie wychodzić z wagonów. Nie pamiętam, czyja to była decyzja, ale musieliśmy być solidarni: Ukraińcy nie wychodzili, my także postanowiliśmy nie wychodzić.

Wagony nie były przystosowane do załatwiania swoich potrzeb. Jakiś Ukrainiec zeskoczył z wagonu i wtedy usłyszeliśmy serie z karabinów maszynowych. Z tyłu i z przodu pociągu ustawili niewidoczne dla nas karabiny maszynowe. Zrozumieliśmy, że nie ma żartów.

Mimo to nie zrezygnowaliśmy z walki. Ukraińcy śpiewali swoje piosenki, my politykowaliśmy. Mijała jedna doba, druga, trzecia. Pociąg stał naprzeciw obozowej stołówki, dochodziły zapachy smacznej strawy. Jedzenia nam nie dawali. Głód coraz bardziej nam dokuczał. Byliśmy pewni, że Ukraińcy też nie jedzą i nie piją. Tymczasem oni zdobywali jakoś ze stołówki chleb. Na wszystkich stanowiskach mieli swoich ludzi. Nie podzielili się z nami. Byliśmy coraz bardziej wycieńczeni. Głód odczuwa się w pierwszym, drugim dniu, w trzecim kiszki zasychają, człowiek nie odczuwa już głodu, tylko słabnie. Czwartego dnia naszego strajku, wykręcając nam ręce wyprowadziła nas kompania żołnierzy. Nie usiłowaliśmy walczyć, mieliśmy dość tej walki. Daliśmy się zaprowadzić do obozu. Dostaliśmy zaraz normalne jedzenie, zupę, oddali nam do tyłu chleb.

W tym obozie były już mniejsze baraki. Były szesnastoosobowe pokoje z piętrowymi pryczami. Dobraliśmy się towarzysko. Było nas pięciu Polaków i inteligenci ukraińscy: dwóch profesorów, dwóch lwowiaków, porządnych chłopów /robili coś u Niemców, byli w Kripo?/. Postanowiliśmy nadal nie chodzić do pracy. Prowadziliśmy bardziej kulturalne życie. Rozmawialiśmy, mieliśmy książki, profesorowie opowiadali różne rzeczy, prowadziliśmy dyskusje. Zrobiliśmy sobie karty, graliśmy w brydża.

Byłem słabym brydżystą. Prass i Longin zawsze mi dogadywali. Kiedyś mnie zdenerwowali. Powiedziałem, że nie będę ich dłużej słuchał: idę do pracy. Miałem prawo do pracy, nakłaniali, aby pracować. Wyszedłem z chętnymi na nowy obiekt. Była to budująca się kopalnia. Trwały jeszcze roboty powierzchniowe, zaczynało się głębić szyb. Poszedłem do narzędziowni, wybrałem sobie siekiere, tym najlepiej władałem. Niby chciałem ją naostrzyć.

Tak długo ją ostrzyłem, aż się wszyscy rozeszli.

Narzędziownię obsługiwała młoda dziewczyna. Wolna. Zainteresowałem się nią, była ładna. Zacząłem z nią szybki romans. Nie byłem już wygłodzony, wycieńczony, ciągnęło mnie do kobiet. Codziennie wychodziłem do pracy, ale nie pracowałem, tylko debatowałem z tą dziewczyną.

Wybierała się na urlop do domu. Była z Białorusi, miała jechać przez Moskwę. zaproponowała mi, żebym opisał swoją sprawę, a ona wrzuci ją na Kremlu do skrzyni skarg i zażaleń. Wróciłem do obozu i zacząłem pisać donos do Chruszczowa /Malenkowa? - zima 1954/55/. Panowie dalej różnili w brydża, kłócili się, teraz już beze mnie. Usiadłem i spokojnie opisałem całą swoją obozową przeszłość.

Napisałem, że uwierzyłem w hasło umieszczone na bramie - "Czesnyj trud put' k swobodie" i przez 10 lat uczciwie pracowałem. Byłem nawet na tablicy przodowników pracy. I po tylu latach zamiast spodziewanego rychlejszego wyjścia z obozu i zachotów, które rzekomo były mi naliczane, wplątano mnie w jakąś podejrzaną sprawę. Był strajk ogólny, ale brałem w nim udział bierny. Organizowałem wtedy zabezpieczenie kopalni. I nagle jestem o coś posądzony? Zapakowałem to do koperty i zaniósłem tej dziewczynie. Po kilku dniach nawet o tym zapomniałem.

Namówiłem panów, żeby przestali grać, żebyśmy poszli do pracy. Brygadzista dowiedział się, że jestem cieślą górniczym i zaproponował specjalną robotę. Mieliśmy budować estakadę /rampe/. Naprzód obciosywaliśmy bale, później przyrzynaliśmy je i budowaliśmy według planu. Trwało to chyba z półtora miesiąca. Byliśmy już zapisywani jako robotnicy, już nie buntowaliśmy się.

Część Ukraińców także poszła do pracy, mieli swoich brygadystów, objęli kierownicze stanowiska jako kucharze, brygadziści, pisarze, a część siedziała w obozie. Grali i śpiewali.

W tym obozie nikt nie wypędzał do roboty. Nikt nikogo nie zmuszał. To już była wyższa świadomość. Kto chciał, sam szedł. Wiedział, że za przepracowany dzień leci mu kreska dodatnia. Inaczej leciała ujemna.

Prass przyjaźnił się z Ukraińcami. Jak potrzebowali do jakichś robót cieślę, to brali Prassa. Prass ma kilka zdjęć w tundrze z nimi, jak siedzi z siekierą.

Czy można tam było robić zdjęcia?

Ta budująca się kopalnia nie była jeszcze ogrodzona. Kopalnia pracująca miała wieże, tam nie było wież. Konwojenci stali przy ogniskach daleko w tundrze. Nie było "zapriet zony" i nie było żadnych kontroli. Przychodzili tam ludzie z innych obozów, którzy w międzyczasie wyszli na tzw. "wolnyje posilenie". Przychodzili do swoich towarzyszy, mieli aparaty, robili zdjęcia. Nie pytali strażników, czy im wolno. Siadali sobie w kupkę pod jakąś starą wieżą i ktoś ciachał zdjęcie. Nie robili tego tak jawnie.

Ale aparaty były między nami, tak samo jak zegarki mieliśmy. Nie wszyscy, niektórzy. Nie było takich kontroli, że nie można było mieć nawet żyletki. Wcześniej nie można było mieć ani żyletki, ani noża, żadnych ostrych narzędzi. Później dali nam pewną swobodę.

Mój brat był cały czas w starym obozie. Był już wypuszczony na "wolne posilenie". Przychodził do mnie raz w tygodniu i zawsze mi coś przynosił. Mógł kupować. Było wtedy dobre zaopatrzenie. Dostawałem od niego różne rzeczy, pamiętam słoik man-

darynek. Paliłem jeszcze papierosy, też mi przynosił. Raz na dobę był pociąg z Workuty, po dwóch godzinach odjeżdżał. Za ten czas mógł do mnie przyjść i zza drutów pogadać. Nie było już takiego reżimu, żeby nie mógł się zbliżyć. Z drogi, z odległości około 10 metrów od drutów mogliśmy sobie porozmawiać. Jak przyniósł do bramy jakąś paczkę, strażnicy chętnie przekazywali ją.

Którejś nocy zapukał do drzwi strażnik. Nie zamykali nas już. Przyszedł po mnie, kazał zabrać rzeczy. Zaskoczyło mnie to. Skoro miałem zabrać rzeczy, to miałem już tu nie wrócić. Pożegnałem się ze swoimi panami - z Prasem, Longinem, Henrykiem /Edwardem?/ Jankowskim, Lisem, z naszymi i z Ukraińcami.

Strażnik zaprowadził mnie do Specczastii, do kuma. Kum siedział w czapce, jak to zwykle oni, palił papierosa, miał jakieś akta przed sobą. Posadził mnie po drugiej stronie stołu, grzecznie zdjąłem czapkę. - "No, cztoż, Jankowski, zachatieło w Warszawie?" Głupio mi się zrobiło. - "Zachatieło, a cztoż nie imieju chotiet. Wsio wriemia choczu w Warszawu wozwratit" - "Da, da, da. Pisał żałbu?" Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Pomyślałem, że albo dziewczyna mnie zdradziła i zaniósła tę żałbę do nich, albo przyszła odpowiedź. Nie chciałem zdradzić dziewczyny, nie od razu wiedziałem, jak na to odpowiedzieć. Ale on pytał dalej: "A snimok u tiebia jest?". To już mnie całkiem zaskoczyło, bo faktycznie parę dni temu robiłem zdjęcia. Pomyślałem sobie, że wszystko już wiedzą; wiedzą o zdjęciach, wiedzą o apelacji. Nie miałem nowego wyroku, bo mi nie mogli niczego udowodnić, a tutaj jest wszystko czarno na białym. Będę miał sprawę. Im tylko człowiek był potrzebny, sprawę dorabiali. Ale kum rozpogodził się. - "No, Kazimir Michajłowicz,



w Warszawie wy chotitie, prawda?" Przytaknąłem. - "Poczytaj siebie!" - i dał mi moje akta. Nie wiedziałem, co mam czytać. Zobaczyłem w aktach z jednej strony przypięte moje zdjęcia profil i en face z numerem, a z drugiej strony tę moją apelację z rezolucją z Moskwy. "Wypuścić na wolność. Prezydium Wierchowno Sowieta umarza 10 lat. Spod straży oswobodit." - "Podpiszy"

Jedną ręką wysunąłem swoje zdjęcie spod spinacza i upuściłem je na kolana, a drugą ręką podpisałem. Kum wziął akta, nie czytał, zamknął, położył na półkę. - "No, a snimok daj mnie, to ja wypiszu sprawku na Workutu" - śmiało podałem mu zdjęcie, a to zabrane z akt nakryłem czapką. Wypisał mi sprawku poruszania się w okolicach Workuty. Mogłem swobodnie chodzić jako wolny już obywatel. Zapytałem, czy mogę pożegnać się z kolegami, ale nie puścił mnie już do obozu. Powiedział, że odpowiada za mnie jak za wolnego człowieka.. Wezwał konwojenta, który wyprowadził mnie za bramę. /W tym obozie spędziłem rok./

Był to 4 marca 1956 roku, dzień moich imienin. Były to najszczęśliwsze imieniny w życiu.

15  
155  
Była noc. Do stacji było z pół kilometra. Wiedziałem, że pociąg przyjeżdża raz na dobę koło 5-6 rano. Przywoził robotników z Workuty. Z jednej strony stacji była maleńka poczekalnia. Z drugiej strony siedział urzędnik ruchu. Kobieta.  
- "Ty do kawo?" - "Ja do pojezda." - "Ty czto, z uma soszoł, tiepier pojezd? Pojezd budiet utrom." - "Podożddu." - "Czto? tu nie'lzia żdat!" - "Ja nie imieju kuda iti." - "A ty otkuda?"  
- "Z etowo łagiera." - "No, to zachadi."  
Wszedłem, zobaczyłem potężną babę. - "Ty czto, uwolnien?"  
- "Da, uwolnien." - "A, to drugoje. No ty kakoj to nie ruskij?"

- "Da, ja Polak." - "Da szto ty, to ja toże Polka!" Rzuciła mi się na szyję i obcałowała mnie. - "Ja Gielena Smirnowna." Rozpłakała się. Co to za Polka - Gielena Smirnowna? Okazało się, że to córka czy wnuczka wywiezionych tam powstańców styczniowych. Ona już po polsku nie mówiła, ale tkwił w niej jeszcze sentyment do Polaków. - "No, ładno, rozkazywaj!"

Poczęstowała mnie herbatą, zacząłem jej opowiadać. O północy kończyła służbę. Mieszkała koło stacji i powiedziała, że mogę u niej przespać do rana.

W domu za stołem siedział jakiś skośnooki Azjata. Popatrzył na mnie. - "A ty kowo prywieła?" - "A, ziemiaka wstretiła! A ty czto, nie na robotie?" - "Siewodnia nie poszoł na robotu." Azjata nie odzywał się do mnie, tylko patrzył na mnie dziko. Smirnowna poczęstowała mnie czymś i wyprowadziła z powrotem do tej stacji, do urzędnika, który przejął po niej zmianę. Powiedziała mi, że bym nie wychodził do poczekalni. Do rana rozmawiałem z jej zmiennikiem, Rosjaninem, ale kilka razy pokazywała mi się w szybach ta azjatycka głowa.

Rano wsiadłem do pociągu i pojechałem do mojego dawnego obozu. Został tam mój brat. Przyjęto mnie na sztygara zmianowego. Musiałem dorobić się trochę, coś sobie kupić, zmienić odzież, przygotować się do wyjazdu. Byłem już człowiekiem wolnym.

Na skutek mojej apelacji nie tylko ja zostałem zwolniony. Wszyscy chłopcy, z którymi byłem sądzony podlegali tej samej amnestii. Dostali zawiadomienia kilka miesięcy później, jeden dopiero po roku /Zahara na Kołymie/. Tą apelacją zwolniłem także swojego brata Karola. On i tak był już na "wolnym posieleniu". Kilka miesięcy później papiery dotarły i do tego obozu. On też dostał zwolnienie.

Wiedząc, że będziemy wyjeżdżać do Polski Ksenia Andrejewna napisała mnie i Karolowi charakterystykę pracy. Był to przebieg naszej pracy od 1945 roku do 1956, od szeregowego pracownika do osoby dozoru wyższego - wszystko w samych superlatywach. Podpisała to ona, sekretarz organizacji partyjnej i sekretarz rady zakładowej. Ten dokument ułatwił mi zaliczenie sobie stażu pracy. Nie musiałem się tłumaczyć, że byłem więźniem. ZUS nie zaliczał więźniom stażu pracy, mimo że robił to wbrew przepisom. /Przepisy mówiły, że tym więźniom można było zaliczyć. Nam te wszystkie winy darowano, jak wracaliśmy do Polski./ Wielu moim towarzyszom nie zaliczyli tych lat. W polskich warunkach 10-lat to było 10 procent dodatku do renty.

Prowadziłem nawet korespondencję z Ksenią Andrejewną. Posłałem jej kilka książek z malarstwa polskiego. Ona interesowała się sztuką i literaturą polską.

Pracowaliśmy, ubieraliśmy się, żyliśmy na wolnej stopie, urządzaliśmy przyjęcia. Przychodziły do nas dziewczyny z kierpicznego, my wędrowaliśmy na cegielnię. Tam odwiedzałem Cesię i pięcioraczki. Bawiliśmy się tą odzyskaną wolnością. Chodziliśmy na spacer. Zwiedzaliśmy Workutę. Robiliśmy przede wszystkim zdjęcia - setki tysiące zdjęć poobozowych reliktyw, których jeszcze nie zdążyli zlikwidować. Likwidowali wieże, drutów już nie było przy obozach. Wszystko pomału rozbierali. Nie wszystkie obozy, ale większość.

A najważniejsze - napisaliśmy do matki, żeby nam przysłała zaproszenie i oświadczenie, że będziemy w Polsce na początku mieli opiekę i wyżywienie. W ambasadzie w Moskwie /Sektekwarze?/ staraliśmy się o polską wizę. I czekaliśmy.

! Henke

Niektórzy mieli z tym poważne trudności. Mirek Chentosz przyjechał dopiero 10 lat później. Ożenił się z Rosjanką. Nie powinna być to trudność, ale była. Niektórzy, np. Rusinowicz zarobił mały wyrok i znowu dostał się do obozu. Utrudniali wyjazdy. Nie chętnie dawali wizy.

Wizy dawał nam lejtnant Pimanow /?/. Nie dawał nam ich za darmo. Sprzedawał je. Przyjeżdżał z wizą, ale powiadał, że nie łatwo nam będzie wyjechać. Akurat były rozruchy poznańskie. Mówił, że trzeba zapłacić jego znajomemu, to da wizę. /Ten sam, który załatwiał wizę Fr. Królowi, później dostał wyrok 10 czy 15 lat./ Przyjechał do nas i powiedział, że ma dla nas wizy, ale da nam je dopiero w Workucie na stacji. Za każdą wizę płaciliśmy wtedy po 2 tysiące rubli. Dostawaliśmy około 5 tysięcy pensji. /Były to stare ruble, później zmienione w relacji 1:10./ Przyjechaliśmy do Workuty z Talą, żoną Olka. Wykupiliśmy bilety. Dopiero na peronie wręczył nam te wizy, a my jemu pieniądze.

Jechaliśmy do Moskwy dwie i pół albo trzy doby. Wzięliśmy sobie jeden przedział - cztery miejsca do spania. Tala była w ciąży. Pociągi na dość długo stawały na stacjach. Wychodziliśmy i kupowaliśmy Tali owoce - figi, pomarańcze, mandarynki.

W Moskwie postanowiliśmy zrobić jakieś zakupy za pozostałe pieniądze. Potem mieliśmy jechać z Talą do Brześcia. Tam był jej dom.

W Moskwie postanowiliśmy odwiedzić nie żyjącego satrapę, leżącego pod Kremllem, pod szkłem. Tłumy ludzi odwiedzały to mauzoleum. Stanęliśmy w kolejce. Milicjant zwrócił nam uwagę, że nie mamy kwiatów. /Wszystkie wycieczki składały jakieś wieńce./ Pokazał nam kiosk, gdzie je sprzedawali. Żał nam było

wydawać pieniędzy, ale ciekawość była wielka. Poszedłem do kiosku i wybrałem najmniejszy wieniec. Sprzedawca zapytał, co napisać na szarfie. Karol powiedział mi szeptem do ucha: "Pamiętaj o zbrodni w lasu pod Katyniem" /za Niemców była taka propaganda/. Sprzedawca odłożył pisak, podszedł do nas i zapytał po polsku: "Państwo z Warszawy? Ja tak dawno Warszawiaków nie widziałem!". Byliśmy zaskoczeni. Pomyślałem, że to być może jakiś ubek i nowa wsypa. Dobrze, że on pomyślał, że jestem z Warszawy, bo gdyby wiedział, że jadę z obozu, to za te słowa już bym miał kłopoty. Ale był to warszawski Żyd. Zostawił kiosk żonie, chciał z nami porozmawiać. Pytał o Warszawę. Raz byłem w Warszawie. Spacerowałem z rodzicami Marszałkowską. Przyznałem mu się później, że nie jesteśmy z Warszawy, tylko ze Lwowa. Ale on tak się nami ucieszył, że zaprosił nas do siebie na dwa czy trzy dni, chodził z nami wszędzie, płacił obiady, kolacje. Chodził z nami do GUMu. Kupowaliśmy zegarki, aparaty fotograficzne, rower dla naszej siostrzenicy. Robił nam zdjęcia. Wszystkie zdjęcia, które mamy z Placu Czerwonego są jego dziełem. Pożegnaliśmy się, odprowadził nas na stację i pojechaliśmy do Brześcia.

Zatrzymaliśmy się u rodziców Tali. Dwaj jej bracia byli wtedy we Lwowie na studiach medycznych. Strasznie chciałem zobaczyć Lwów. Miałem jeszcze parę rubli, nie miałem wprawdzie prawa poruszania się wszędzie, ale zaryzykowałem. Znałem język, miałem paszport. Postanowiłem pojechać z Karolem do Lwowa.

Kupiliśmy bilety, wsiedliśmy do pociągu, jechaliśmy chyba całą noc. Zaczęliśmy zwiedzać nasze rodzinne miasto.

Cesia dała mi adres swojej mamy, pojechałem do niej. Opowie-

działem o Cesi i jej pobycie w Workucie. Cesia była kilka razy we Lwowie, dwa czy trzy razy. Przywozili ją na tzw. przesłedztwo, gdy aresztowali jeszcze kogoś. W końcu zdjęli jej ten wyrok i także zwolniła się.

We Lwowie odwiedziliśmy jeszcze Basię Kościńską. Poznaliśmy ją korespondencyjnie. Janusz Gutry otrzymał kiedyś list ze Lwowa, od pani, która pomagała mu jakimś paczuszkari /matka Janusza była już we Wrocławiu/, że młoda dziewczyna po maturze chciała by poznać kogoś z Polaków przebywających na Workucie. Janusz przyszedł do mnie z tym listem. Byłem chętny do pisania, ale zaproponowałem, żebyśmy wszyscy do niej pisali, pięciu czy sześciu z nas. Miała ślicznie opanowany lwowski język literacki. Nawiązała się długa korespondencja. Basia zaczęła przysyłać nam książki - całą polską klasykę. Rozbudziły w nas one chęć do nauki. Odświeżaliśmy nasze niekompletne okupacyjne wykształcenie. Zabraliśmy się do uczenia innych, mniej wykształconych pochodzących ze wsi, z Białorusi. /były AK/. Prass ma dokumenty, jakie zajęcia prowadziliśmy. Uczyliśmy geografii, historii, języka polskiego, trochę gramatyki. Taką wiedzę, jaką sami posiadaliśmy, a najważniejsze, że wpajaliśmy im te lektury.

W ramach zajęć dostałem temat o Warszawie. Nie znałem Warszawy i jej historii. Ale miałem szczęście, bo był w obozie rabin warszawski, Szymon Dikman. Był to wykształcony Żyd, znał kilkanaście języków, mówił po polsku. Zaprzyjaźniłem się z nim. Nie siedział za AK, siedział za szpiegostwo na rzecz Anglii. Był to naprawdę światły człowiek. Godzinami, bez zająknięcia recytował "Pana Tadeusza". Dikman pisał mi po cichu referaty szkoleniowe. Sam nie chciał angażować się patriotycznie i wiedział czym to pachnie.

JANUO 16  
127  
32

Tak przed samym strajkiem podkształciliśmy trochę naszych rodaków. Przez to zaczęli się do nas garnąć. W latach, kiedy każdy był zajęty sobą, kiedy każdy walczył tylko o życie, więzi były luźne. Tutaj zaświtała jakaś nadzieja, wszyscy wiedzieli, że może być jakaś zmiana i zaczęliśmy solidaryzować się między sobą. Szkoła prosperowała.

Zrobiliśmy Basi prezent - kupiliśmy jej aparat fotograficzny. Bardzo się ucieszyła. Poznaliśmy jej matkę. Przenocowaliśmy kilka dni u niej. Chodziliśmy razem z nią i jej matką po mieście.

Później Basia skończyła poligrafię we Lwowie. Została inżynierem poligrafii. Wyszła za mąż za Polaka, pana Chrzanowskiego, absolwenta szkoły artystycznej, dyrektora polskiego teatru we Lwowie. Mieli nienormalne dziecko. Mąż odszedł od niej. Basia zdecydowała się przyjechać do Polski. Mieszka w Wałbrzychu /Długa 23/. Po jakimś czasie sprowadziła męża.

Ze Lwowa wróciliśmy do Brześcia. Tala zostawała u rodziców. Do Polski wracałem z Karolem. Przekroczyliśmy granicę. W Białej Podlaskiej był PUR /Państwowy Urząd Repetriacyjny/. Mieścił się w dworku, Zamoyskich chyba. Dostaliśmy pokój. Tam było pierwsze zetknięcie z polskimi dziewczętami, które nie tylko nas obsługiwały, ale tańczyły z nami na wieczorkach zapoznawczych. Robiliśmy zdjęcia tym dziewczynom, przy tej okazji zdjęliśmy i dworek.

W pewnym momencie podszedł do nas taki jeden smutny i powiedział, że tu nie można robić zdjęć. Nie było nigdzie zakazu, rozmawialiśmy z nim butnie. Nie wiedział, co z nami zrobić. Powiedział, że nas uprzedza, że nie można robić zdjęć, że możemy mieć kłopoty. Było to pierwsze zetknięcie z polskim UB.

Po kilku dniach wyjechaliśmy do Warszawy. Dostaliśmy po 1000 złotych. Była to pensja urzędnika. Przyjechaliśmy na Dworzec Wschodni. Musieliśmy dostać się na Dworzec Gdański. Wzięliśmy taksówkę. Kierowca zauważył, że jacyś repatrianci jadą i wziął za kurs 100 zł. Dopiero później zorientowałem się, że nas naciągnął. Spotkanie z warszawskim taksówkarzem też nie było miłe.

Dojechaliśmy do Gdańska. Była to połowa lipca 1956 roku.

Powitanie z rodziną - z matką, siostrą. Ojciec już nie żył.

Chciałem koniecznie pójść na jakieś studia. Eryćko Podilskij nauczył mnie trochę matematyki. Moja siostrzenica Basia akurat była po maturze. Wziąłem jej podręczniki i zacząłem przygotowywać się do egzaminów na Politechnikę. Było już po egzaminach wstępnych, postanowiłem zdawać dodatkowo, ale okazało się, że repatriantów nie obowiązywały egzaminy. Złożyłem swoje świadectwo maturalne, matka je przechowała.

Przed rozpoczęciem się roku akademickiego pojechaliśmy z bratem w podróż po Polsce. Wiedziałem, że niektórzy nasi koledzy są w Gliwicach, niektórzy w Katowicach, niektórzy aż w Sanoku. Postanowiliśmy ich wszystkich odwiedzić. Wróciliśmy przed początkiem zajęć akademickich. Miałem zamiar solidnie przygotować się do studiów.

W międzyczasie mama szukała nam żon.

Śmiesznie to było. Język nasz był bardzo ubogi. Trochę zruszczyliśmy się tam. Mama przyprawiała panie sędziny, panie doktor, inne wykształcone panie, a nam się języki plątały. Nie robiliśmy wielkiego wrażenia na tych paniach, ale i nam one nie bardzo się podobały. Tym bardziej, że byliśmy jeszcze jacyś tacy dzicy.

Kiedyś padał deszcz i mama poprosiła, żebym odprowadził



panią Jadzię do tramwaju. Przyjechał tramwaj, zdjąłem z pani płaszcz, który mama jej pożyczyła, zwinąłem parasol i pożegnałem się. Mama załamała ręce.

Najgorsze było to, że przez te lata zaczęliśmy myśleć po rosyjsku, a później przechodząc na polski układaliśmy zdania w rosyjskiej składni. Wyrażenie "takim obrazem" tłumaczyłem dosłownie "takim obrazem". Wiadomo, jakie wrażenie musiało to robić na takich paniach.

Zraziłem się trochę.

Wiedziałem, że na razie nie mogę dorównać tym paniom, przynajmniej w konwersacji. Poprosiłem matkę, żeby dała mi spokój. Tyle lat nie byłem żonaty, to jeszcze trochę pobędę. Tłumaczyłem, że muszę przyłożyć się do nauki. Ale matka była uparta.

Pewnej niedzieli zobaczyłem, że pracuje mi kołnierzyk do koszuli, przygotowuje czekoladę. Powiedziała, że pójdziemy do kina. Nie miałem ochoty, ale poszedłem. W kinie mama była umówiona ze swoją znajomą, przedstawiła mnie. Znajoma zaprosiła nas do siebie. Wróciła właśnie do domu jej córka, która po studiach stomatologicznych pracowała w ruchomym ambulansie. /nakaz pracy/. Nie wypadało odmówić, poszedłem. Poznałem jej córkę.

Ona jakoś inaczej zachowała się wobec mnie, inaczej zareagowała na moje opowiadania. Miała podobne przejścia w rodzinie. Jak tylko przyszli Rosjanie, wywieźli na Sybir jej wujków i ciotkę. Jej kuzynka uciekła z wywózki. Później wychowywały się razem, razem kończyły studia w Gdańsku. Znała ten los. Jakoś mnie to pociągnęło do niej. Nie wiem, może miłość od pierwszego wejrzenia. Ale chyba nie, bo trochę Cesi było mi jeszcze żal. Zasiadziałem się u niej aż do dwunastej w nocy, na pierwszej

wizycie.

Ta dziewczyna została moją żoną.

Zacząłem studia na wydziale budowy okrętów w Gdańsku. Chciałem się sprawdzić, czy ja w ogóle nadaję się jeszcze do jakichś studiów. Zacząłem się wciągać, byłem dość pilny, konsekwentny. Zdawałem egzaminy, cały pierwszy rok zaliczyłem.

W czasie wakacji przyjechał do mnie Pawłusza i pochwalił się, że on jest już inżynierem górnikiem. Przyjechał do Polski razem ze mną, kiedy to zrobił, nie wiedziałem. Ale pokazał mi dyplom inżyniera górnika i pasek z ostatniej pensji: 7 czy 8 tysięcy złotych. Mnie czekało jeszcze pięć lat studiów, sześć z magisterką. W stoczni nigdy nie było takich zarobków jak w górnictwie. Zastanowiłem się nad tym, czy nie wrócić do górnictwa. Praca w stoczni była dla mnie świeża, nowa, byłem w niej kompletnym zerem, a wiek swój już miałem.

Były wakacje, pojechałem na AGH zapytać, czy mnie z pierwszym rokiem skończonym w Gdańsku wezmą na studia górnicze. Dziekanem był wtedy prof. Bednarski, zgodził się, ale powiedział, że musiałbym pracować w górnictwie.

Wróciłem do domu z decyzją przeniesienia się na Śląsk. Żona wpadła w rozpacz, nie chciała zostawiać rodziców. Ale tam obiecali mi od razu mieszkanie, byłem jeszcze na prawach repatrianta. Poza tym w górnictwie zawsze dozorowi dawali wcześniej mieszkania. Dostałem piękny bliźniak, dwa pokoje na dole, dwa na górze, balkon, taras, garaż, ogródek. Blisko kopalni. Bardzo mi to odpowiadało. Żona była jeszcze na urlopie macierzyńskim - mieliśmy już pierwszego syna Wojtka. Za moje pierwsze pensje kupiliśmy gabinet dentystyczny. Studiowałem i pracowałem.

W Polsce zacząłem znowu od sztygara zmianowego. Gdy skończyłem studia zostałem oddziałowym, po jakimś roku objazdowym, później nadsztygarem górniczym, później sztygarem do spraw tapani i kierowania stropem, a później zostałem głównym inżynierem górniczym. I jako główny inżynier górniczy odszedłem w 55. roku życia na emeryturę. Po drodze dostawałem wszystkie medale, które mi się należały od Brązowego Krzyża Zasługi, po Sztandar Pracy Pierwszej Klasy i różne inne odznaczenia górnicze: byłem ratownikiem górniczym przez 10 lat, dostałem Krzyż Ratownika Górniczego, medale związane z rejonem: Zasłużony Górnik Polski Ludowej, Zasłużony dla Województwa Katowickiego, Zasłużony dla Kopalni, itd. itd. Tych blaszek mi nadawali, więc wyszedłem z piersią pełną krzyży i medali. A jeszcze potem z Londynu przysłali mi trzy odznaczenia. Teraz nawet Szpadę Górniczą dostałem.

W kryzysie nie mogę dorównać z emeryturą do swoich współczesnych. Na tym stanowisku miałbym trzy razy więcej, niż mam emerytury.

81  
23

W uzupełnieniu nagrania chciałbym cię prosić o opowiedzenie ciekawszych życiorysów związanych z Polską, z Polakami.

Kiedyś przeszła plotka po obozie, że zjawił się wielkiej klasy bandyta. Takich większych bandziorów skutych bądź inaczej zabezpieczonych zawsze prowadziło kilku konwojentów. Przyprawdzili go do baraku Karola. Był to barak dozoru górniczego. Był trochę lepiej utrzymany, częściej była zmieniana pościel.

Popatrzyliśmy z Karolem na nowego błatnowo. Był to delikatny pan, nie wyglądał na sławę, którą się cieszył. Kiedyś zostaliśmy w baraku tylko we trójkę. Rozmawiałem w kącie z Karolem. Błatny popatrzył na nas i zawołał <sup>d</sup>(niewalnego /przy każdym baraku był starszy baraku/. Napisał mu małą karteczkę, dał mu kociołek trzy czy czteropiętrowy i wysłał go po trzy dobre obiady. Po chwili wrócił <sup>d</sup>(niewalny. Błatnoj wyjął trzy aluminiowe miski, podzielił wszystko na trzy porcje, podszedł do nas i czystym warszawskim akcentem zaprosił nas do obiadu.

Nazywał się Gramza. Opowiedział nam po krótkce swój życiorys. Jego ojciec był w Warszawie prokuratorem. Mówił nawet, że generalnym prokuratorem, ale nie mogliśmy się później tego Gramzy doszukać. Oni likwidowali wszystkich prokuratorów, jego ojca i całą rodzinę gdzieś wywieźli. On był wtedy małoletni /jak Janusz Gutry/, był młodszy od nas. Dostał się do obozu.

W każdym obozie kwitł homoseksualizm. Obozowi nariańczycy chcieli go do tego namówić. On był bardzo przystojny, ale nie spodziewał się tego. Nariańczycy nie wysyłali go do pracy, opiekowali się nim, podkarmiali go. Jemu to odpowiadało. Był zdolny. Wypisywał im różne kancelaryjne sprawy. Któregoś dnia chcieli go zgwałcić. Doszło do tego, że on nie wytrzymał i zarznął dwóch napastników. /Mieli pochowane noże, on wiedział gdzie./

To mu wystarczyło na zdobycie sobie sławy. Odsiedział w jakimś izolatorze, dostał znowu wyroki. Potem już szedł tą drogą. W jednym obozie wy dobył pistolet z kabury konwojenta.

Był to Polak z krwi i kości, warszawiak. Pożegnał się z nami, jak wyjeżdżaliśmy. Też dostał się na wolność. Nigdy więcej go nie widziałem.

Czy był dowódcą przestępczym, pachanem?

Nie, sam sobie zdobył autorytet. Musiał być bezwzględny, gdy chcieli mu zrobić krzywdę. Później - to wystarczyło. Miał autorytet. Być może miał z nimi i inne porachunki. Przyłączył się do tego świata, a świat ten rządzi się zupełnie innymi prawami. Dziesięciu lat spędzonych w obozie nie można opowiedzieć w ciągu jednego obiadu. Opowiedział nam to pokrótce i prosił, żebyśmy nikomu nie mówili, że on jest Polakiem. Nikt tego nie wiedział.

Dlaczego?

Być może nie chciał stracić autorytetu. Była to jakaś możliwość przetrwania.

Dlaczego miał by stracić autorytet?

Musiał by odejść ze świata przestępczego. Oni nie dopuszczali innych.

Może Polacy mieli opinię frajerów?

Wszyscy polityczni mieli opinię frajerów. Byliśmy przecież porządnymi ludźmi.

x

W tym samym baraku, co ja mieszkał pan Marian Świerczyński z Wilna /dowódca Ładysza/. Miał tylko 10 lat wyroku, nie był katorżnikiem. Był maszynistą wyciągowym, nie pracował ciężko fizycznie. Był to starszy pan, oficer przedwojenny. Dostawał

Poznał Karola, bardzo się nami zaopiekował. Mieszkał tam też Kazio Tużniak, siedział w gimnazjum w jednej ławce z Konwickim. Było jeszcze dwóch Polaków.

Pamiętam obchodzoną tam Wigilię, nie pierwszą. Mieliśmy głodowe porcje, w żadnym wypadku nie można było nic odłożyć na Wigilię. W końcu zdecydowaliśmy, że odłożymy jedną garbuszkę chleba i zrobimy - przysmak obozowy - kisiel owsiany. Było to wyciśnięte z owsa mleczko, posłodzone. Bardzo to było smaczne, przypominało ptasie mleczko. Zdobyliśmy miskę kisielu, a pan Swierczyński dał nam do niego cukru. Przy tym kiele spędziliśmy razem tę Wigilię. Zaczęliśmy kołędować sobie po cichu.

Wtedy podszedł do nas wysoki pan i literackim polskim językiem złożył nam życzenia. Nie znaleźliśmy go, ale zawsze chętnie przyjmowało się do grona Polaka i polskie Słowo. Spędziliśmy z nim Wigilię, pośpiewaliśmy sobie po polsku. I na tym się skończyło.

Następnego dnia jeden z Ukraińców zapytał, jak zaprzyjaźni-  
liśmy się z tym panem. Powiedział nam, że jest to byjy niemiecki policjant z dywizji SS, który brał udział w egzekucjach. Przy sprzątaniu w specczastii zajrzał w jego akta.

Był to oficer SS Galitzien, absolwent Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, świetnie mówiący polskim literackim językiem.

I tak czasem przy;adkowo można było zawierzyć jakiemuś przestępcy.

77  
12

Jak tylko wyszedłem za druty, pierwsze swoje kroki skierowa-  
łem do Cesi, Więcej ludzi wychodziło na wolność. Cała nasza  
męska połowa zdążyła zawsze na kierpiczny. Tam szukaliśmy swo-  
ich sympatii. Bardzo przyjemne były te nasze zjazdy. Urządza-  
liśmy nawet małe przyjęcia. Nie było zastawnych naczyń, ani  
niczego, ale prowianty można było kupić. Urządzaliśmy tam pik-  
niki. Były różne okazje: imieniny, wesele Olka i Tali. Było  
to pierwsze wesele. Między nami było siedmiu czy ośmiu księży.  
Nie było tam kościołów ani cerkwi, ale ślub dany przez księdza  
zawsze był ważny.

Tam nie. Trzeba było zapisać się w Zaksie.

Workuta była 100-tysięcznym miastem. Były Zaksy, trzeba by-  
ło zapisać się w Zaksie, ale nas obowiązywały śluby kościelne.

Cesię dopiero bliżej poznawałem. Była to kobieta nieskazitelna  
moralnie. Ale nie tylko morale się liczy, liczą się także cechy  
charakteru. Zauważyłem, że ona jest trochę egzaltowana, artys-  
tyczna natura - była artystką, taka bardzo uważająca, ale to  
było jeszcze najmniejsze. Była jedynaczką - trochę kapryśnicą.

Kiedyś przyjechałem do niej na nartach. /Wziąłem je z klubu.  
Chciałem wiedzieć, jak jeździć na nartach. Nie było tam gór,  
ale osiem kilometrów między obozami, to też był wysiłek./ Ona  
ucieszyła się bardzo. Ale przyznała, że właśnie miała iść na  
pocztę po paczkę od mamy. zaproponowałem, żebyśmy oboje poszli.  
Rozmyśliła się: "Nie, nie, nie będę teraz szła. Najwyżej niech  
paczka pójdzie z powrotem". Tłumaczyłem jej, że mama byłaby  
niespokojna, gdyby paczka wróciła. Powiedziała mi, że to nie  
moja sprawa. Uparłem się. Chciałem ją zmusić do pójścia na  
pocztę. Zdecydowałem, że jeżeli nie idziemy na pocztę, to ja  
wracam do siebie. Powiedziała mi: "No to do widzenia".

Przyjechałem jeszcze na jakieś nasze zjazdy /imieniny czy gościnne występy/, ale widziałem, że Cesia jest inna. Koło niej kręcił się Gienio, obecny jej mąż. Widocznie nie była to tak wielka miłość, skoro nie chciałem z nim rywalizować. Miałem szanse i mogłem. Zналиśmy się długo i mieliśmy wiele wspólnego. On był etnicznie inny, pochodził z Białorusi, ja nawet jako Lwowianin byłem jej bliższy. Czy ja wiem. Trudno mi to powiedzieć. Ponieważ wyszedłem poza druty, starałem się o wizę i dostałem ją, a ona jeszcze nie miała całkowitego zwolnienia, jej jeszcze nie zezwalali wyjeżdżać - wyjechałem z bratem do Polski i na tym się skończyło.

Niemniej korespondencja trwa do dzisiaj. Odwiedzałem ją kilka razy we Lwowie i mam zamiar dalej ją odwiedzać. Strasznie się postarzała. W obozie miała lekkie życie. Miała w palcach tę umiejętność: rysowała portreciki, zawsze coś tam za nią dostawała. Nie miała trudnego życia w obozie.

Gdy wróciła z mężem do Lwowa, nie zezwolili im zameldować się. Lwów był miastem wojewódzkim. Ich przepisy mówiły, że były wiezień może mieszkać najmniej 100 km od wojewódzkiego miasta. Cienek musiał wziąć pracę poza Lwowem, w jakimś kołchozie. Ona nie pracowała, siedziała u mamy, ale była zameldowana gdzieś daleko.

Było małżeństwo, rodziły się dzieci. Ona mieszkała w tym ich starym domu. Była to ich willa jeszcze przedwojenna. Opo- wiadała mi, że od czasu do czasu były kontrole; jak ktoś pukał do bramy, brała dzieci na ręce i uciekała za dom, w taką zieloną debrę. Wiedzieli, gdzie uciekała. Kiedyś podjechał samochód pod tę debrę i oświetlił ją reflektorami. Potem znów musiała udawać, że mieszka gdzieś poza Lwowem. Mówiła, że prawie



nigdy nie opuściła tego domu. Potem czasy zmieniały się i w końcu pozwolili im mieszkać we Lwowie.

Cesia już nigdy nie wróciła do malowania. Malowała czasem jakąś karteczkę - wysyłała do mnie, na moje imieniny zrobiła mi album z panoramą Lwowa i cmentarza Łyczakowskiego. Zajęła się ogrodnictwem. Takim najbardziej efektywnym zajęciem była hodowla kwiatów, sprzedawała je i miała za to dodatkowe pieniądze. Mała była pensja tamtejszego inżyniera. Jej mąż zarabiał 120 czy 140 rubli - na żonę i dzieci.

Mieli ambicje, żeby dzieci skończyły polską szkołę. Szkoła ta tylko teoretycznie dawała szansę wstępu na wyższą uczelnię. Praktycznie niemożliwością było zdanie egzaminu wstępnego na studia z polskiej szkoły. Ale i te bariery pokonali. Obydwie dziewczynki ukończyły studia - jedna Akademię Sztuk Pięknych, druga szkołę Wychowania Fizycznego. Starsza córka, Krysia, wyszła za Polaka, syna oficera polskiego, który tam pozostał. Wanda wyszła za Ukraińca, ma z nim dwoje dzieci. Mąż jest mechanikiem samochodowym, dobrze im się powodzi. Cesia była zrozpaczona, kosztowało ją to wiele zdrowia. Przeżyła szok.

W tej chwili wygląda jak osiemdziesięcioletnia staruszka, mimo że ma zaledwie 66 lat /mój rocznik/. Załamała się, popadła w abnegację. Z tej pięknej, rozkapryszonej kiedyś kobiety -  
- zrobiła się babcia.



**KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ**

**POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION**

**240, KING STREET, LONDON, W6 0RF**

L. dz. ....7640/80

Londyn, dnia 22 lutego, 1980 r.

Our ref.

ZASWIADCZENIE WERYFIKACYJNE

/Wyciąg z akt personalnych/

JANKOWSKI Kazimierz, ur.24.11.1922 r. we Lwowie.  
Syn Michała i Marii.

Porucznik A.K.

Ps.: "Romuś" - "Janek" - "Lin".

Przydział: Okręg A.K. Lwów.

Odbył służbę wojskową w szeregach Z.W.Z., A.K.

Przebieg służby:

9.1941 - Zaprzysiężony w Stryju.

9.1941 - 6.1944 - Przydzielony do plutonu w Stryju. Kończy Kurs Podchorążych. Jako dowódca plutonu bierze czynny udział w obronie ludności polskiej przed U.P.A.

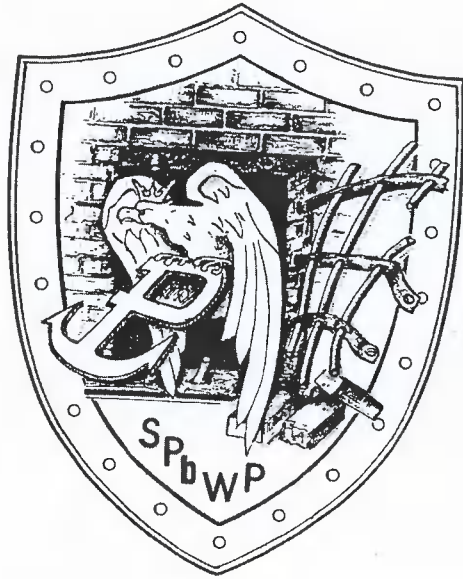
6.1944 - 8.1944 - Przeniesiony do Lwowa, przydzielony do K.O. Północ dla ochrony Dowództwa. Czynny udział w Akcji "Burza" - aż do wkroczenia wojsk sowieckich.

-----  
Odznaczony: Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.  
Medalem Wojska.  
-----

Za zgodność

GŁÓWNA KOMISJA WERYFIKACYJNA A.K.





„Być zwyciężonym  
i nie ulec – to zwycięstwo  
Zwyciężyć  
i spocząć na laurach – to klęska”  
Marszałek Polski Józef Piłsudski

Stowarzyszenie  
Polskich b. Więźniów Politycznych  
Prezydium Zarządu Naczelnego  
na podstawie wniosku Kapituły  
Uchwałą

Nr 1/99 z dnia 12.09.1997r.

nadaje

*Włodzisław Łabędziński*

LEGITYMACJA

Nr 4320

KRZYŻ  
WIĘŹNIA POLITYCZNEGO


upoważnia do noszenia  
Krzyża Więźnia Politycznego

Za Kapitułę

*Włodzisław Łabędziński*

Prezes

*Włodzisław Łabędziński*



*Łabędziński*





KIEROWNIK  
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW  
I OSÓB REPRESJONOWANYCH  
SEKRETARZ STANU

przyznaje

Panu (Pani) Kazimierzowi  
JANKOWSKIEMU

ODZNAKĘ  
WETERANA WALK  
NIERODLEGŁOŚĆ

PIECZĘC



  
SEKRETARZ STANU

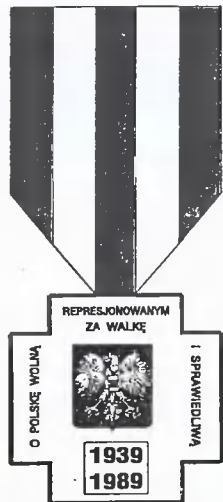
Warszawa, dnia 5.03.1995 r.

# LEGITYMACJA ORDEROWA

WETERANÓW WALK 1939 - 1989  
O POLSKĘ WOLNĄ I SPRAWIEDLIWĄ



Krajowy Związek Weteranów Walk 1939 - 1989  
o Polskę Wolną i Sprawiedliwą



ORDER MĘCZEŃSTWA I ZWYCIĘSTWA  
dla REPRESJONOWANYCH od 1939 do 1989 r. za  
Walkę o POLSKĘ WOLNĄ I SPRAWIEDLIWĄ

## LEGITYMACJA ORDEROWA

NR 003070

Zarząd Główny Krajowego Związku Weteranów  
Walk 1939 - 1989 o Polskę Wolną i Sprawiedliwą  
na wniosek Kapituły Orderu, nadał:

śp. Kazimierzowi

JANKOWSKIEMU s. Michała

### ORDER MĘCZEŃSTWA I ZWYCIĘSTWA

Za Zarząd Główny Związku



Prezes Zarządu Głównego  
KZWW 1939 - 1989 P.W. I S

*Roman Gorecki*  
(inż. Roman Gorecki)

Warszawa, dnia 25.10. 97  
19.....r.



RZECZPOSPOLITA POLSKA



LEGITYMACJA

ŻOŁNIERZA AK  
\*AKCJA BURZA\*

Nr. 12/11379

KOMITET ORGANIZACYJNY 50-lecia  
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

I

\*AKCJI BURZA\*  
POD PROTEKTORATEM  
PREZYDENTA  
RZECZPOSPOLITEJ POLSKIEJ

przyznaje:

Kazimierzowi JANKOWSKIEMU

ODZNAKĘ PAMIĄTKOWĄ  
\*AKCJI BURZA\*

pieczęć

Sekretarz Stanu

# LEGITYMACJA ORDEROWA

WETERANÓW WALK 1939 - 1989  
O POLSKĘ WOLNĄ I SPRAWIEDLIWĄ



Krajowy Związek Weteranów Walk 1939 - 1989  
o Polskę Wolną i Sprawiedliwą



ORDER PRZELANEJ KRWI ZA OJCZYZNĘ

## LEGITYMACJA ORDEROWA

NR 000727

Zarząd Główny Krajowego Związku Weteranów  
Walk 1939 - 1989 o Polskę Wolną i Sprawiedliwą  
na wniosek Kapituły Orderu, nadał:

śp. Kazimierzowi

JANKOWSKIEMU s. Michała

**ORDER PRZELANEJ KRWI ZA OJCZYZNĘ**

Za Zarząd Główny Związku



PREZES Zarządu Głównego  
Krajowego Związku Weteranów Walk  
1939-1989 o Polskę Wolną i Sprawiedliwą  
*[Signature]*

25.10. 97

Warszawa, dnia ..... 19..... r.



MINISTERSTWO  
OBRONY NARODOWEJ  
—  
DEPARTAMENT KADR

ZAŚWIADCZENIE  
o odznaczeniu

MON-Kadr-om. 5. WIL. zam. 1132 z 80/81.  
WKP, XV-14

**ZAŚWIADCZENIE**

Nr DK-20126/W

WARSAWA  
dnia 13.02. 19 90r.

Zaświadcza się, że  
Obywatel

JANKOWSKI Kazimierz  
(nazwisko i imię)

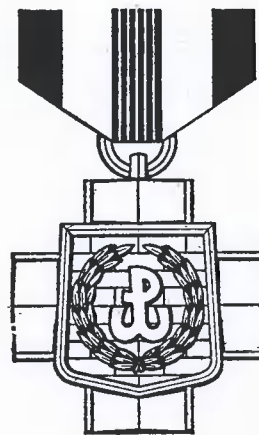
s. Michała  
(imię ojca)

za udział  
w walkach z hitlerowskim okupantem  
w latach 1939-1945  
został przez kompetentne władze

odznaczony  
KRZYŻEM WALECZNYCH

M. p.   
SZEF DEPARTAMENTU KADR MON

**LEGITYMACJA  
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ**



Nr. 21864.....

Nazwisko ..... JANKOWSKI  
Imię ..... Kazimierz  
Pseudonim ..... "Romuh" "Janek" "Llu"  
Przydział ..... A.K.  
Okr. Lwów.

Odznaczony został

**KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ**

ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez  
dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego  
dla upamiętnienia wysiłku Żołnierza Polski  
Podziemnej w latach  
1939 — 1945

Podpis: Przewodniczący

Komisji Krzyża

M. Mandziara "Sivvy"

Londyn, dnia 7. MAJA 1980



MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ



LEGITYMACJA Nr 35524 .....

Stopień, imię, nazwisko ..... **Por.** .....

**JANKOWSKI Kazimierz**

Ps: "Janek" "Lin"

Oddział **A.K.** .....

Odznaczony został **SREBRNYM**

**KRZYŻEM ZASŁUGI Z MIECZAMI**

Podstawa: **DzPers. Nr 3215.8.49.** .....

Londyn, dnia **30. kwietnia 1949.** r.

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Kazimierz Jankowski".

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr 24994 .....

Stopień imię, nazwisko ...POR. ....

JANKOWSKI..KAZIMIERZ...ps.. "RUMUN"

Oddział AK.....

Odnaczony został po raz 1,2,3 i 4

Medalem Wojska

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu  
Głównego  
z dnia 1 lipca 1948

Londyn dnia 15 sierpień 1948 r.

  
M. Walega, ppłk

Okręg Stanisławowski AK  
Inspektorat Stryjski AK  
Kasapacka Dywizja Partyzantcza  
40 pp. part.

Odpis z Archiwum  
w Warszawie

W Y K A Z      O D Z N A C Z O N Y C H  
=====

Orderem Virtuti Militari V klasy.

1. "Grudziński" - Wiesław Zaręba kpt AK /Daszawa-Feliksówka-Gelsendorf/  
zst. d-cy III baonu

Odwazny & bojowy żołnierz, brał udział w licznych akcjach w zabezpieczeniu ludności polskiej z bandami APA na terenie pow. stryjskiego. Wyróżnił się jako doskonały d-ca w akcjach przeciw transportom niemieckim udających się na front wschodni na odcinku kolejowym Chodorów-Stryj.

2. "Pieczarka" Władysław Jakimów por. AK /Korczunek Daszawski/  
zast. d-cy komp. bat. zapasowy

Wyróżniając się dowódca brał udział w walkach w rejonie Siechowe przeciwko dywizjom artylerii niemieckiej, odznaczył się osobistą odwagą w akcjach przeciwko bandom UPA, uczestnik rajdu partyzantczego do Brzudowic i Krasnej Góry dzięki czemu uratowano ludność polską przed skomasowaną do ataku i przygotowaną bandą APA.

3. "Litwin" Henryk Zjawin Matkowski por. AK /Korczunek Daszawski/  
oficer łączności d-ca pułku  
d-a komp. 2 baonu Antoniówka

Ja ko oficer łączności od marca 1944r. wyróżnia się odwagą i poświęceniem w utrzymaniu łączności na terenie insp. stryjskiego, dzięki doskonałej znajomości sądzidnich terenów utrzymuje łączność ze znajdującymi się oddziałami part. Bierze udział w różnych akcjach w zabezpieczeniu ludności polskiej, szczególnie wyróżnia się w walce pod Dunajcem dowodząc kompanią. Przydzielony przez D-two 40 pp. ja-ko oficer łączności do oddziału mjr. "Uszki" bierze udział w marszu na Bitków i Na dworne. W Walce pod Bitkowem z Niemcami wyróżnia się odwagą i męstwem nie ustępując z broniącego odcinka wykazując duże opanowanie. Doskonała znajomość terenu pozwoliła wyprowadzić przez niego oddział z oblężenia.

4. "Jeleń" Stefan Szaliński chor. AK /Korczunek Daszawski/  
oficer łączności D-twa Pułku

D-ca plut. oddz. mjr. "Uszki" w marszu na Bitków

Doskonały łącznościowiec utrzymywał łączność z batalionami, bierze liczny udział w walkach w obronie ludności polskiej przed bandami UPA. Z uwagi na zawód kolejnika bierze udział w akcjach przeciw transportom kolejowym i akcjach sabotażowych na liniach kolejowych. Odważny żołnierz. Uczestnik marszu i walki pod Bitkowem.

9. s.p. "Józef" Józef Burdzy plut. AK /Korczunek Daszawski/  
zast. kwatermistrza

Organizator zaopatrzenia w żywność oddziałów i w odzież. Komendant miejscowej ludności zamieszkałej na I linii Korczunka Daszawskiego. Odważny, zdyscyplinowany i dzielny żołnierz. Uczestnik rajdów patrolowych przeciw przygotowującym się do uderzenia band UPA. Ginie w walce z rąk bandytów UPA na skraju lasu Siechowski.

10. s.p. "Gałka" Jan Gałuszka st. sierż. /Antoniówka/  
kom. miejscowej ludności.

Doskonały organizator, posiada dający talent dowódcy. Pełnił funkcję komendanta miejscowej ludności, organizacyjnie wchodził w skład II batalionu. Bierze czynny udział w akcjach przeciw bandom UPA. Przyczynił się walcnie w czasie obrony Dunajca jako jej obrońca. Ginie w walce w czasie przeprawy kładczowa.

11. "Czarny" Wiktor Snieżek ppor. AK /Feliksówka - Gelsendorf/  
III batalion d-ca plutonu

Doskonały żołnierz wyróżniający się zdolnościami do walk partyzanckich. Odwagą osobistą podrywał do walki podległych mu żołnierzy. Uczestnik wielu udanych akcji przeciw Niemcom szczególnie wyróżnił się podczas akcji skierowanych na transporty niemieckie na odcinku kolejowym Kochawina - Choćowice niszcząc kilka transportów ze sprzętem idącym na wschód. Udział w obronie wsi polskiej przed bandami UPA.

12. "Włóczęga" Krzysztof Szczepański ppor. AK /Daszawa - Feliksówka/  
III batalion d- a plutonu

Współorganizator obrony wsi polskiej przed bandami UPA. Bierze czynny udział w walkach przeciw przygotowującym się ataku uzbrojonym bandom ukraińskim, w wieloakcyjnych patrolowych niszczy kilka grup zdobywając broń i amunicję. Przykładem osobistym i odwagą był wzorem dla swego oddziału. Niezrównany tropiciel i zwiadowca jego patrole przynosiły bardzo cenne informacje dotyczące sytuacji w rejonie działania batalionu.

13. "Michał" Michał Korny kpr. AK /Ruda k/Kochawiny/  
d-ca drużyny I batalionu

Wiele razy uczestniczył w akcjach przeciw zgrupowanym oddziałom band UPA wyróżniając się bojowością i zmysłem dobrego dowódcy. Zawsze chętny i gotowy do akcji. Bierze czynny udział w momencie przerwania frontu przez Armię Radziecką w walkach z przedzierającymi się oddziałami niemieckimi.

14. "Lis" Fózef Rudy kpr. AK /Ruda k/Kochawiny/  
Z-ca drużyny I batalionu

Udział w walkach w ratowaniu miejscowości polskich przed uzbrojonymi bandami UPA. Dzielny i odważny podoficer posiadający nieprzeciętną orientację i odwagę. Brał czynny udział w wielu walkach z wycofującymi się z linii frontu oddziałami niemieckimi.

15. "Kos" ..... Nowak ppor. AK /Kochawiec pow. Żydaczów/  
d-ca komp. I Batalionu

Współorganizator obrony i oddziałów baz polskich w rejonie pow. Żydaczów. Wyśmienity dowódca odznaczający się zmysłem dowódczym i odwagą. Brał czynny udział w obronie przed bandami UPA na terenie powiatu. Wyróżnił się szczególnie w akcji przeciw przedzierającym na wschód transportu wojsk niemieckich na trasie Kochawina-Żydaczów.

15. "Włoczek" Tomasz Reczek por. AK /Antoniówka - Dunajec/  
z-ca d- y komp. II batalionu  
Pełniąc obowiązki zastępcy kompanii wyróżnia się odwagą i poświęceniem w obronie ludności polskiej w walce z bandami APA. Szczególnie wyróżnił się w walce w obronie miejscowości Dunajec Polski. Z powierzonego zadania wywiązał się znakomicie utrzymując pozycję aż do rozkazu jej opuszczenia. Skierowany przez d-wo 40 pp. part. na odcinku mjr "Uszki" bierze udział w marszu na Bitków i Nadwórkę. W walce ~~XXXXXX~~ pod Bitkowem wyróżnia się odwagą i nieustępliwością. Po zakończeniu służby w partyzance wstępuje do wojska walcząc aż do zakończenia działań. W walkach zostaje ranny.
17. "Janosik" Jan Mikułski ppor. AK /Żurawino - Adamówka/  
d-ca komp. I batalionu  
Waleczny i odważny dowódca. Wykorzystywany do szybkich akcji uderzeniowych działających w rejonie Żurawna - Młyńska. Przyczynił się swoimi wypadami do zlikwidowania kilka mniejszych jednostek niemieckich zdobywając wiele cennego uzbrojenia. Bierze udział w obronie ludności polskiej narażonej na ataki ze strony band ukraińskich w rejonie działania I batalionu.
18. "Żegota" Jan Radomski ppor. AK /Antoniówka - Dunajec/  
zast. d- cy komp. II bat.  
Udział w obronie ludności polskiej przed atakami uzbrojonych band ukraińskich. Walka z Niemcami i szwadronem własowców k/Dunajca. Odważny z inicjatywą dowódca. Brał udział w wielu akcjach przeciw oddziałom niemieckim wykazując doskonałą orientację i odwagę osobistą.
19. "Rydz" Roman Jaskuński pchor. AK /Rejon pow. Stryjskiego/  
łącznik do oddziałów radzieckich.  
Zdolny organizator współpracował w organizowaniu obrony ludności polskiej przed bandami UPA. Oddelegowany jako łącznik do oddziałów radzieckich złożonych z byłych jeńców. Brał udział w walkach z oddziałami niemieckimi po przełamaniu frontu przez Armię Radziecką wykazując odwagę osobistą i poświęcenie.
20. "Janek" Kazimierz Jankowski pchor. AK /Ruda Kochawina/  
z-ca d- cy plutonu I Batalionu.  
Zdolny młody wybijający się dowódca. Bierze udział w akcjach sabotażowych na trasach kolejowych, oraz przeciw niemieckim, zwłaszcza w niszczeniu transportów niemieckich udających się na front wschodni. We wszystkich akcjach wykazał nadzwyczajną odwagę i opanowanie.
21. "Poldek" Leopold Kozłowski o hotnik /Ruda Kochawina/  
łącznik batalionu I-go.  
Młody o hotnik wykazujący wiele serca i odwagi w akcjach. zawsze chętnie wykonujący polecenia z sumiennością i zapałem, Bierze udział w wielu akcjach i w walkach w obronie ludności polskiej przed bandami UPA w rejonie Rudy. Wyróżnił się w ratowaniu ludności wiejskiej-biedoty wykazując duże poświęcenie.
22. "Szapka" Jan Fuglewicz mjr. AK /Korczunek Dasz./  
II zast. d- cy Pułku Dunajec-Antoniówka  
d-ca bat. Bitków-Nadworne zast. d- cy oddziału.  
Jeden z najzdolniejszych podoficerów 6 pac. Udział w kampanii wrześniowej jako łącznik iowiec w 11 dyw. art. w czasie działań wyróżnił się wielką odwagą i zmysłem organizacyjnym w zapewnieniu łączności oddziałów będących w ciężkich walkach odwrotowych. W pierwszych dniach na terenie inspektoratu stryjskiego przydzielony do sztabu, gdzie pracuje nad organizacją łączności. Wybitny d-ca b, dzielny organizator z całym poświęceniem żołnierz frontowy. Brał udział w akcjach. Z ważniejszych należy wymienić udział w rajdzie partyzanckim na Bił jako z- a d- cy oddziału mjr. "Uszki" podczas którego wykazał niespotkaną odwagę osobistą i doskonałą orientację, przyczyniając się do obrony oddziału i w ciężkiej opresji. Następnie bierze udział w walkach z Niemcami w rejonie Siechowskich wykazując wiele ~~mnix~~ odwagi i poświęcenia.